

Bethany Campbell

Tylko kobieta

Rozdział 1

Scotty patrzyła na falistą linię wzgórz przez okna sali konferencyjnej Benton Arena. Pograżone w zimowym śnie góry Ozark w przedziwny sposób skojarzyły jej się z dziadkiem Gampem i to ją uspokoiło. Gdy jednak wkroczyła na pole walki, odczuła głęboki niepokój. Dzisiejszy dzień może być ostatnią szansą. Trzeba zdobyć się na agresywność. Pozostali dziennikarze nie będą mieli wobec niej skrupułów.

Jej kamerzysta, Hassledorf, podstarzały kogut, utorował sobie drogę do przodu. Właśnie gorączkowo gestykulował, chcąc zapewne powiedzieć: No, chodź tu, Scotty.

Kiwnęła mu głową, zacisnęła zęby i usiłowała precyzyjnie się między tym dziennikarzem radiowym a jakimś kamerzystą. Odepchnęli ją, jakby była wścibskim natrętem, a nie ich koleżanką. Połowa dziennikarzy uważała, że kobiety nie powinny robić programów sportowych. Uważali też za zabawne, że mała, śliczna Scotty chce zajmować się sportem.

Miała sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, krótkie, gęste, kasztanowe włosy, zielone oczy, długie rzęsy i mlecznobiałą cerę. Ojciec nazywał ją „chińską laleczką”, nieco zdumiony, że ta istota o ogromnych oczach i drobnych kościach pojawiła się znienacka w rodzie ludzi postawnych i wysokich.

W niektórych rodzinach przydomek „chińska laleczka” mógłby uchodzić za komplement. Ale nie w rodzinie Scotty. Co zrobiłby ojciec, gdyby nie mógł przepchać się przez tłum? „Naprzód!” – krzyknąłby pełnym głosem, jak przystało na trenera. „Nie dawaj się! Nie ustępuj!”

Tak więc usiłowała nie dać się i w końcu, bardziej prześlizgując się niż przepychając, wywalczyła miejsce wprost przed Duffem Freelym z konkurencyjnego Kanału 37. Duff nie miał dla niej więcej sympatii niż pozostali dziennikarze, ale był tak leniwy, że rzadko sam odrabiał pracę domową. Wolał do tego wykorzystać Scotty. Zastanawiała się, kiedy Duff zacznie wysysać z niej informacje.

– Trzymamy się, co? – Zaśmiał się. – Na czym polega twój sekret? Chodzą pogłoski, że nowe kierownictwo Kanału 50 lubi te duże, zielone oczy.

– Pogłoski są nieprawdziwe – odparła z pozornym spokojem.

Kanał 50 łączył obecnie najgorsze cechy chaosu i piekła. Niedawno został sprzedany starszawemu, ekscentrycznemu milionerowi z Tennessee, niejakiemu

Poteau, którego nikt z Kanału 50 nie widział na oczy. Wieść niesła, że jest to odludek, który stacje telewizyjne kolekcjonuje, tak jak inni znaczki.

Kiedy stacja telewizyjna przechodzi z rąk do rąk, zwykle zwalnia się niektórych pracowników. Pan Poteau nie nasycił się jednak pojedynczymi ofiarami. Trzy czwarte pracowników poszło pod jego katowski topór. Hassledorfa oszczędzono z powodów oczywistych – był najlepszym kamerzystą, jakiego kiedykolwiek miała ta stacja. Dlaczego jednak Anioł Bezrobocia pominął Scotty? Była najmłodszą stażem dziennikarką, której dawano zwykle do zrobienia materiały o ściekach, problemach dentystycznych psów i pojawieniu się jakiejś choroby drzew.

Zdaje się, że Duff Freely miał rację. Pan Poteau najwyraźniej widział ją na ekranie, orzekł, że jest „słodka jak cukiereczek” i polecił, by robiła więcej materiałów sportowych. Była wdzięczna, że dano jej szansę, ale wolałaby, żeby ceniono ją w pracy za kompetencje, a nie za to, że jest ładna czy zuchwała.

Duff uśmiechnął się z politowaniem.

– Nie sądzę, żebyś wyciągnęła coś od Quinna. Słyszałem, że już wyrzucił cię za drzwi. I to nieraz. Mówi się, że on nie toleruje dziennikarek.

Stłumiła narastający gniew. Duff mógł nie znać sportowych statystyk, ale zawsze znał miejscowe plotki. Quinn był nowym trenerem Szarych Wilków, drużyny koszykarskiej College’u St. Thomasa i co najmniej cztery razy odmówił Scotty udzielenia wywiadu. Za każdym razem asystent trenera wypraszał Scotty z jego biura w Benton Arena – Quinn będzie rozmawiać z Kanałem 50, o ile sprawozdawcą sportowym będzie mężczyzna...

Scotty wydawało to się niemoralne, niedemokratyczne, zacofane i niewybaczalne. Co gorsza, było to niepokojące. Pan Poteau chciał, żeby zajmowała się sportem. Ale nie Jed Quinn. Jeśli nie skłoni go do zmiany stanowiska, może stracić pracę. To zapewne spowoduje, że ojciec się jej wyprze, a Wally Walltham, kierownik działu sportowego, będzie skakać z radości.

Wally wyznaczył ją do zajmowania się Wilkami z College’u St. Thomasa z taką miną, jakby rzucał psu ochłap ze stołu. Sam obsługiwał wszystkie ważniejsze imprezy sportowe i nie chciał, żeby Scotty wkraczała na jego terytorium.

Ale ten rok był kiepski dla zawodników z College’u St. Thomasa. Zespół został w poważnym stopniu osłabiony przez kontuzje. Co jednak było najsmutniejsze, trener drużyny koszykarskiej Szarych Wilków, Pappy Hoyle, zmarł na zawał serca tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego. Jed Quinn, człowiek nie mający prawie w ogóle doświadczenia trenerskiego, zastąpił go w ostatniej chwili. Najmądrzejsi gracze Wilków zrobili to, co na ich miejscu zrobiliby wszyscy myślący zawodnicy

– przenieśli się do szkół oferujących stabilniejsze programy i trenerów z większym doświadczeniem.

Wszyscy byli zgodni, że Quinna czeka sezon upokarzających rzezi. Przy tak ponurych prognozach spodziewano się, że zechce współpracować z prasą. Potrzebna mu będzie przecież wyrozumiałość. Quinn jednak uważał dziennikarzy za stado szakali.

Jego poprzednik, trener Pappy Hoyle, uwodził prasę z wielką energią, udzielając wywiadu za wywiadem. Jed Quinn zebrał wszystkich naraz, jak potentat, który ostatecznie zgodził się przemówić do motłochu.

– Po co w ogóle Quinn zwołuje konferencję prasową? – mruzczał Duff.

– Prawdopodobnie musi tłumaczyć swoim zawodnikom, na czym polega koszykówka. – Scotty potrzęsła głową.

– Tak? No cóż, tobie z pewnością o tym nie powie. Mogłaś malować sobie paznokcie, a tu przysłać tylko Hassledorfa. Quinn nie zaakceptuje kobiety w roli sprawozdawcy sportowego.

– Chyba będzie musiał, jeśli ja tu jestem – odparła, przygryzając dolną wargę.

– Tak, jesteś, ale pytam: jak długo jeszcze? – szydził Duff, owijając kosmyk jej kasztanowych włosów wokół palca. Próbowwała uwolnić się od jego natarczywej dłoni. Tak, była tutaj. Miała niepewną pracę w niestabilnej stacji, zajmowała się ryzykownym programem sportowym, i to przy braku współpracy ze strony trenera. Śmieszne, pomyślała, kiedyś dziennikarstwo sportowe wydawało się znakomitym pomysłem na życie.

To Gamp powiedział, że mogłaby się tym zająć, zachęcił ją. Ona i Gamp nie byli może wprost uważani za czarne owce tej wielkiej rodziny, za to na pewno nie uważano ich za jej chlubę. Klan Morganów to ludzie porywczy, z bzikiem na punkcie sportu i sprawności fizycznej. Legenda rodzinna głosiła, że kiedy matka Scotty leżała po raz czwarty w izbie porodowej, ojciec siedział obok i dopingował ją gorąco.

– Dalej, Mildred – miał jakoby krzyżeć. – Daj mi tym razem obrońcę. Mamy już pomocnika i dwóch skrzydłowych!

Pani Morgan nie urodziła jednak syna, który mógłby zająć miejsce w rodzinnym składzie piłkarskim. Na świat przyszła córeczka z niedowagą, która zamiast wybuchnąć od razu zdrowym płaczem, cichutko i zarazem złowieszczo kichnęła. Rozczarowani rodzice, wciąż ociągający się z uznaniem oczywistych faktów, nadali jej imię Scotty. Było ono nie do końca męskie, niezupełnie żeńskie i pozostawiało otwarte możliwości.

Brat Bruno z odrazą nazwał ją Smarkulą. Królowa Drobnoustrojów – ten przydomek nadał jej z podobnym uczuciem drugi brat, Duke.

– Zostawcie ją w spokoju – mawiała wtedy matka.

– To tragedia, ale cóż ona na to poradzi.

Scotty miała alergię, Scotty miała astmę i podczas gdy jej bracia i siostry – razem było ich pięcioro – hartowali się od dzieciństwa, rzucając kulą lub oszczepem, robiąc pompki i podnosząc ciężary, Scotty spędziła swe cielece lata siedząc na kanapie i wycinając lalki z papieru. Lekarz powiedział, że przy astmie należy unikać wysiłku fizycznego. W domu Morganów nie mogła znaleźć dla siebie miejsca. Nie mogła, dopóki nie zamieszkał z nimi Gamp.

Gamp, ojciec jej ojca, był równie namiętnym fanatykiem sportu jak pozostali członkowie rodziny, ale, podobnie jak Scotty, był słaby fizycznie i psychicznie. Wypadek w fabryce chemicznej, gdzie był brygadzystą, kosztował go utratę wzroku. Z początku był tak zgorzkniały i zamknięty w sobie, że Scotty, wówczas nie mająca jeszcze dziewięciu lat, bała się go. Pewnego letniego popołudnia, gdy matka zabrała dzieci na ostry trening na basenie, Gamp przeszedł wielki kryzys. Jego radio zaczęło szwankować na początku transmisji meczu baseballowego Białych Skarpet z Chicago. Zręcząc pokuśtykał do telewizora, z rozdrażnieniem namacał przycisk i włączył odbiornik.

Z nieszczęśliwą miną usiadł na kanapie. Telewizja jest dla widzących i Gamp wiedział, że sprawozdawcy nie powiedzą mu tego, co tak bardzo pragnął usłyszeć.

Teraz jednak nic nie słyszał. Kia) i pokrzykiwał na Scotty, która jak zwykle wycinała lalki z papieru, żeby poprawiła głośność. Był do tego stopnia wzburzony, że bała się powiedzieć mu prawdę.

– Dźwięk... dźwięku nie ma – wydukała w końcu. – Tatuś powiedział, że wysiadł wczoraj wieczorem.

Zakryła uszy dłońmi, spodziewając się, że staruszek zacznie znowu przeklinać. Była zdumiona i zaniepokojona, gdy zapadła cisza. Gamp zasłonił potężnymi dłońmi twarz i zaczął płakać. Scotty jeszcze nigdy nie widziała, żeby dorosły płakał. Było to straszne i odetchnęła z ulgą, gdy przeklął, choć już nieco stłumionym głosem.

– Mogłabym ci relacjonować przebieg gry – rzuciła desperacką myśl. Potrząsnął tylko głową, wyraźnie wstydząc się, że była świadkiem jego zachowania.

– Naprawdę mogłabym, Gamp – nalegała, wiedząc że to dla niej żaden problem. Nie było u Morganów nikogo, kto nie znałby się choć trochę na

baseballu.

– Na pierwszej bazie to chyba numer 32, Johnson. Tak, na pewno Johnson... Rzucił Fairfax. Och... co za uderzenie – mówiła cały czas aż do przerwy w meczu. Gamp zwrócił twarz w jej stronę.

– Masz gadane, Scotty – powiedział. – Jesteś lepsza niż ci z radia, przysięgam. Chodź tu, usiądź koło mnie.

Od tego się zaczęło. Kiedy matka i wszyscy pozostali wrócili do domu, Gamp opowiedział im o wyczynach Scotty.

– I patrzcie – mówił – okazuje się, że to zahukane maleństwo ma głowę nie od parady. Założę się, że wie o baseballu więcej niż Bruno.

– Proszę, coś takiego! – Matce wyraźnie ulżył fakt, że Scotty w ogóle do czegoś się nadaje i że przynajmniej raz Gamp się uśmiecha.

Scotty i Gamp wkrótce zawiązali obustronny sojusz. To ona stała się jego prywatnym sprawozdawcą sportowym – jego oczami. Relacjonowała dla niego wszelkie rozgrywki transmitowane przez telewizję. Towarzyszyła mu na imprezach w parku i w szkole, komentując przebieg zdarzeń na przeróżnych piłkarskich boiskach. – Jest lepsza niż Howard, jak mu tam – opowiadał Gamp każdemu, kto tylko chciał słuchać.

– Powiadam ci, że lepsza. Nadejdzie dzień, że trafi do telewizji, zobaczycie. I przegoni wszystkich!

Scotty podjęła wyzwanie i wkrótce okazało się, że jest to o wiele trudniejsze, niż przypuszczała. Może to wszystko jakieś mrzonki, zastanawiała się czasami. Nie miała już przy sobie Gampa, żeby ją dopingował. Jak na razie nie dokonała niczego, co wywarłoby wrażenie na rodzinie. Tyle że wyrosła z alergii i astmy, choć oczywiście nadal nie była okazem zdrowia. A teraz? Jeśli Quinn nie zacznie współpracować, będzie miała dwa wyjścia: albo całe życie zajmować się problemami kanalizacji, albo zasilić szeregi bezrobotnych.

Duff wyrwał ją z niewesołych rozmyślań.

– Słuchaj, rzuć mi parę danych na temat Quinna. Chciałem się czegoś o nim dowiedzieć, ale zabrakło mi czasu. Grał jako zawodowiec, prawda? Dla Milwaukee?

Scotty spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Duff, on był koszykarzem Boston Celtics. Legendarnych Boston Celtics.

– No i co z tego? – bronił się, Duff. – Mnie płotki nie interesują. Oświeć mnie. Jak to się stało, że go wylali? Co gracz Celtics może robić w takiej dziurze jak St. Thomas?

– Po pierwsze, St. Thomas to nie dziura. Po drugie, Quinn nie został „wylany”. Potłukł się, i to poważnie, w wypadku samochodowym. Załatwił sobie kolano. To była tragedia, bo przedtem grał naprawdę znakomicie.

– Co to znaczy: znakomicie? – nacierał Duff. – Podaj mi fakty. Zawsze napychasz sobie głowę jakimiś śmieciami...

– To się jeszcze okaże – odpowiedziała, wyraźnie dotknięta. – Nie powinnam udzielać żadnych informacji, ale chcę udowodnić, że je mam. A więc: 195 centymetrów wzrostu, waży przed meczem 104 kilogramy. Był zawodnikiem uniwersytetu w Oklahomie, grał w ataku. W zawodowym zespole grał w obronie i był wyjątkowo dobry.

– Dobrze, dobrze, w porządku. – Duff zapisywał wszystko w swoim notatniku.

Westchnęła i mówiła dalej:

– W meczu przeciętnie zdobywa piętnaście punktów z gry, osiem z dobitki, sześć asyst. Jedyne zawodowe słabości: skłonność do urazów kolana. Najgorsza znana osobista słabość: słabość do szybkich samochodów. Niestety, skasował swojego jaguara i miał kolejną kontuzję lewego kolana, o jedną za dużo.

– Więc teraz – mówił ze złośliwą satysfakcją Duff, wciąż notując – jest w St. Thomas i ma trenować najslabszy zespół w historii college’u. Skończyły się jego złote lata. Jedyne przyjemnością, jaka mu pozostała, będzie usadzanie małych dziewczynek, takich jak ty.

– Nie jestem małą dziewczynką – powiedziała Scotty tak spokojnie, jak potrafiła. Duff miał w sobie coś wstrętne, co trudno było znieść.

Właśnie w tej chwili Hassledorf, jej kamerzysta, dał z przodu znak.

– Nadchodzi wielki człowiek – poinformował scenicznym szeptem.

Niespokojna cisza zaległa nad małym tłumkiem, gdy patrzyli, jak Jed Quinn, ze spuszczoną głową, wchodzi do sali konferencyjnej i majestatycznym krokiem zmierza w stronę pulpitu. Niesprawność lewego kolana sprawiała, że jego chód był nieco sztywny.

Miał na sobie szyty na miarę, tradycyjny ciemnoszary garnitur, który nie bardzo do niego pasował. Nic dziwnego, że sportowy światek nadał mu przydomek Kowboj Quinn; wyglądał na człowieka, który czułby się lepiej w starych dzinsach i ze stetsonem. Z tego, jak nastroszył brwi, Scotty wywnioskowała, że nie cieszy się specjalnie ze spotkania z prasą.

Quinn zapalił długie, cienkie cygare i gburowato oświadczył, że przykro mu z powodu niedogodności, ale on i jego zespół są bardzo zajęci dodatkowymi treningami.

Scotty przypatrywała mu się z mocno bijącym sercem. Po raz pierwszy widziała go na własne oczy. Zdała sobie sprawę, że Quinn jest niezwykle atrakcyjny. Jeszcze przystojniejszy niż w telewizji. W jakimś sensie było to dla niej dodatkowe utrudnienie.

Pulpit nie zasłaniał jego olbrzymiego ciała. Wyglądał tak samo jak dwa lata temu, gdy grał w drużynie zawodowej. Pod ciemnym garniturem rysowały się szerokie ramiona, płaski brzuch i muskularne nogi. Jego opalona twarz zdradzała wyraźnie włosko-irlandzkie pochodzenie. Ciemnobrązowe, kędzierzawe włosy znakomicie pasowałyby do rzymskiego gladiatora, podobnie jak mocna kwadratowa szczęka i wyraźnie zarysowane kości policzkowe. Ale wystająca, zawadiacka broda, silny, nieco krótki nos i głęboko osadzone, zimne, błękitne oczy wskazywały wyraźnie na Irlandczyka. Wokół oczu ocienionych ciemnymi rzęsami miał sieć głębokich zmarszczek mimicznych, a pomiędzy brwiami asymetryczną bruzdę. Jakby w ramach rekompensaty za zmarszczki, kiedy się lekko uśmiechał, na prawym policzku tworzył się długi, bardzo męski dołeczek. Miał mocno ukształtowane mięśnie twarzy z wyraziście wyżłobionymi liniami, tworzącymi się obok łagodniejszych, które otaczały jego usta. Wyglądał trochę na rzymskiego zapaśnika, trochę na sprytnego irlandzkiego polityka, a z cygarem wciśniętym między zęby mógłby uchodzić za potomka Rhetta Butlera.

Pozwolił na zadawanie pytań i wskazał na dziennikarza z konkurencyjnej stacji telewizyjnej. Scotty w końcu zdołała jakoś przedostać się na przód małego tłumku, gdzie była z pewnością wyraźnie widoczna, ale on traktował ją jak powietrze.

– Panie Quinn – wychrypiał powoli Mahony, dziennikarz, który zjadł zęby w swoim fachu. – Bardzo nas wszystkich zasmuciła śmierć pańskiego poprzednika, Pappy’ego Hoyle’a. Zastąpił go pan w ostatniej chwili. Czy zamierza pan mu dorównać?

Quinnowi nawet nie drgnęła powieka. Tylko na opalonej twarzy zadrgały mięśnie. Wypuścił kłęb dymu ze swego cygara.

– Mam prawie dwa metry wzrostu – leniwie cedził słowa. – Niemal każdemu dorównuję, a niektórych przerastam.

– Prosiłbym o odpowiedź wprost – nie ustępował Mahony. – Paru najlepszych graczy przeniosło się gdzie indziej. Został pan z zawodnikami, którym brakuje doświadczenia. Co pan zamierza?

– Zrobić, co będzie w mojej mocy – odpowiedział z wyzywającą pewnością siebie.

– Czy nie mógłby pan mówić precyzyjniej, trenerze? – W chrapliwym głosie

Mahony'ego dźwięczał wyraźny sarkazm, gdy wymawiał słowo „trener”.

– Jak pan wie, moi zawodnicy mają już naprawdę dosyć słuchania, że są za niscy i za mało doświadczeni. Mówiąc prawdę, są tak wściekli, że niczego nie pragną bardziej niż zwycięstwa, panie Mahony. Tak wściekli, że może im się to udać.

– Zespół nie może być na wyższym poziomie niż jego trener – naciskał Mahony, żądny krwi. – A pan ma za sobą dokładnie dwa lata pracy jako trener. I to z młodymi, w małym college'u.

Quinn uśmiechnął się; nie był to przyjemny uśmiech.

– Przez dwa lata dwa razy doprowadziłem drużynę do mistrzostwa – przypomniał. – Proszę z góry nie spisywać Szarych Wilków na straty. Sezon się jeszcze nie rozpoczął. Oni są żądni sukcesu. Właśnie to się liczy.

– Panie trenerze! – zawołała Scotty, gestykulując zawzięcie, ale Quinn zignorował ją. Skinął ręką na jednego z reporterów radiowych. Potem dał szansę, co prawda niechętnie, wszystkim dziennikarzom. Wszystkim oprócz Scotty. Celowo unikał patrzenia w jej stronę. Czuła ból w skroniach. Nie mieściło jej się w głowie, że może ją tak traktować, i to publicznie, w obecności jej kolegów po fachu. Perspektywa zajmowania się ściekami przeplatała się z wizją bezrobocia. Hassledorf robił wrażenie zdenerwowanego. Scotty nie była pewna, czy stary kamerzysta jest zły na nią czy na Ouinna.

Quinn, z cygarem w ustach, skinął głową na znak, że to już koniec.

– Panowie, siedzimy tu już prawie pół godziny. Myślę, że każdy miał swoją szansę, prawda? Każdy oddał strzał, więc może na tym byśmy skończyli, co? Do zobaczenia na meczu jutro.

Gdy skierował się ku wyjściu, w Scotty coś się zagotowało. Nigdy w życiu nie była jeszcze tak wściekła. Czuła, jakby ktoś ją opętał – może poirytowany duch Gampa.

– Proszę poczekać! – zawołała, zaskakując samą siebie ostrym tonem głosu, jakim przedtem do nikogo się nie zwracała.

Quinn na chwilę znieruchomiał, spojrzał na nią, nieznacznie się uśmiechnął, a potem odwrócił wzrok, jakby nic nie zaszło.

– Powiedziałam: proszę poczekać! – powtórzyła tym samym dźwięcznym głosem. Hassledorf zamrugał oczami. Słyszała, jak zachichotał Duff Freely i poczuła, że uwaga wszystkich jest zwrócona na nią.

Mocniej zacisnęła w garści mikrofon, starając się nie zwracać uwagi na wpatrzone w nią oczy.

– Jestem oburzona! To jest dyskryminacja! Pan się zwraca tylko do mężczyzn, mówiąc o szansach każdego z nas.

Quinn wykrzywił wargi w pogardliwym uśmiechu, co zirytowało ją jeszcze bardziej. Był tak rozbawiony, jakby to jakiś chrząszcz stanął na tylnych nogach i próbował go krytykować.

– Na miłość boską, chłopcy – powiedział, ciągle uśmiechając się ironicznie. – To jakaś feministka.

Migocząca fala czerwieni tańczyła jej przed oczami. Usłyszała własny głos:

– Może by pan wyjął z ust to cygaro i odpowiadał na moje pytania? Jestem dziennikarką.

Quinn uniósł brwi. Dołeczek w policzku pogłębił się.

– Nie podoba się pani moje cygaro? – zapytał łagodnie.

Paru reporterów prychnęło, a Duff roześmiał się na głos.

– Pańskie cygaro nie ma z tym nic wspólnego – odparowała. – Chcę tylko wiedzieć, z jakiej racji ignoruje pan jedyną obecną tu dziennikarkę.

Zaśmiał się sarkastycznie i potarł dłonią podbródek.

– Cygaro nie powinno być tak beztrosko lekceważone – poprawił ją. – Cygaro ma zasadnicze znaczenie w sprawie, którą mi pani przedkłada. Jak bowiem zauważył poeta Kipling: „Kobieta jest tylko kobietą – za to dobrym cygarem można się zaciągnąć”.

Dziennikarze zareagowali na te słowa wybuchem śmiechu.

– Domagam się równych szans – obstawała przy swoim, przeklinając fakt, że drżą jej kolana.

Quinn nie przejął się tym i dał sygnał do odejścia.

– Jak już mówiłem, do zobaczenia, panowie. Wszyscy się pakowali. Scotty podejrzewała, że się z niej po cichu podśmiewają. Na rozbawionej twarzy Duffa malował się wyraz triumfu. Przygnębiona zwróciła się do Hassledorfa:

– Chodź, będziemy musieli go jeszcze złapać.

– Na mnie nie licz. Mam już dość tego drania.

– Nie mogę wracać z pustymi rękoma. – Scotty z trudem powstrzymywała się od płaczu. – Jak tak dalej będzie, to przez Quinna mnie wyleją.

– Daj sobie spokój – mruknął Hassledorf, zakładając kamerę na ramię. – Z tego faceta w żaden sposób nic nie wydusisz. Przykro mi to mówić, Scotty, ale sądzę, że zostałaś wrobiona przez naszego ukochanego kierownika sportowego, Wally’ego Wallthama. Przypuszczam, że on wiedział, do czego to doprowadzi. Nie spodobało mu się, że kobieta będzie się rozpychać na jego terytorium, więc cię wrobił.

Przydzielił ci takie zadanie, żebyś przepadła z kretesem. U Quinna masz przechłapanie, dzieciaku. Musisz go sobie odpuścić.

Scotty pomyślała o Gampie, a także o ojcu, który zawsze mawiał: „Morganowie są stworzeni do walki. Morganowie nigdy się nie poddają”.

– Nie – powiedziała. – Nie odpuszczę go sobie.

– Dzieciaku – mruzczał Hassledorf, kręcąc łysiejącą głową – powiedz Wally’emu, żeby dał ci inną robotę. Jeśli będziesz dalej zajmować się Quinnem, to wpakujesz się w niezłą kabałę.

– Chyba się jednak wpakuję – odparła, próbując nadać głosowi ton determinacji i filozoficznego spokoju.

Tak naprawdę odczuwała jednak coś wręcz przeciwnego. Dręczyły ją myśli o tym, jak dziwne jest życie. Jaki długi łańcuch wypadków i przypadków doprowadził ją do tej kłopotliwej sytuacji. Kiedyś, dawno temu, niewidomy staruszek płakał w poczuciu bezsilności; próbowała go pocieszyć na swój dziecinny sposób i los potoczył się tak, jak się potoczył. Teraz stała w opustoszałej sali, wydając wojnę człowiekowi, którego błękitne oczy były równie zimne i błyszczące jak niebo na zewnątrz. Człowiekowi, którego żarty zapowiadały, że gwizdże na wszystkich i na wszystko. A już szczególnie na nią.

Ale ten człowiek nie wiedział jeszcze, że Scotty należy do klanu Morganów, a przynajmniej zrobi wszystko, żeby czuć się jego członkiem.

Rozdział 2

Gdy Scotty i Hassledorf wrócili do telewizji, znaleźli się, jak zwykle, w przedsiönku piekła.

Bertie Jo Leigh, asystentka producenta, właśnie skończyła nagrywać sobotni poranny program dla dzieci „Farma ciotki Bertie”. Pan Poteau darzył ją sympatią. Zapewne spodobały mu się programy Bertie. Nie był wyjątkiem. Oczekiwały na nie z niecierpliwością rzesze widzów.

Bertie była kobietą pod sześćdziesiątkę, rosła, serdeczną, wylewną. Służyła jako pielęgniarka w armii w Korei, była aktorką w nowojorskich mydlanych operach i asystentką producenta w Hollywoodzie. Postanowiła wrócić w góry Ozark na – jak to określała – złotą jesień życia. Stan Arizona wydawał się nie dość obszerny, by wchłonąć jej niespożytą energię.

Podczas dzisiejszej popołudniowej sesji gość honorowy Bertie, młody struś, przewrócił statyw, dziobnął technika i usiłował zjeść okulary. Z trudem udało się go poskromić.

Milly, recepcjonistka, płakała.

– Próbował mnie kopnąć – szlochała w chusteczkę. – Miał w oczach śmierć. To był zabójca!

– Przecież to tylko ptak, na miłość boską. Uspokój się, Milly.

– Ptak, który ma dwa metry wzrostu! – lamentowała.

– Milly, bądź ciszej – powiedział znużony Hassledorf. – Telewizja to nie bajka. Chcesz wylecieć z pracy?

Milly spojrzała na niego groźnie, przetarła oczy i przestała płakać z godną uwagi skwapliwością.

– No i jak tam, Scotty, jak sobie radziłaś z Quinnem? – zapytała Bertie.

– Zapewne gorzej niż ty ze swoim strusiem – ponuro odparła Scotty.

– Hmm. – Brązowe oczy Bertie, ukryte za szklami, wyraźnie rozbłysły. – Nadal nie chce z tobą rozmawiać? To może okazać się nawet zabawne.

– Zabawne? – Oczy Scotty wyrażały zdumienie. – Nigdy w życiu nie zostałam bardziej upokorzona! Miałam większą frajdę, gdy skasowałam auto zeszłej zimy.

– Muszę tak zmontować tę taśmę – mruzczał Hassledorf – żeby nie było widać, że wszystkie stacje oprócz naszej dostały odpowiedzi na zadane pytania.

– Och, kłopoty to zawsze świetna zabawa – powiedziała Bertie do oddalającego się Hassledorfa, przeczesując ręką i tak już potargane białe włosy. – Scotty,

skarbie, wstąp do mego biura. Poczęstuję cię filiżanką kawy cioci Bertie, szatańsko mocnej, czarnej jak węgiel. Gwarantuję, że wpompuje ona w twój organizm taką porcję kofeiny, że staniesz do boju ze światem. Chodź.

Po chwili znalazły się w pokoju zavalonym przyborami do rysowania i malowania oraz wypchanymi teczkami. W samym centrum usytuowane było biurko Bertie – pomnik twórczego bałaganu.

– Siadaj, siadaj – zapraszała Bertie, uprzętając stos fotografii z wolnego krzesła.
– I przestań się zamartwiać. – Popchnęła nogą drzwi. – Musisz czerpać więcej radości z życia. Gdybym miała twoje lata i wyglądała tak dobrze jak ty, nie wałęsałabym się beczynniami tylko dlatego, że jakiś drań chce postawić na swoim.

Scotty uśmiechnęła się smutno i rzuciła okiem na kolorowe dziecięce rysunki na ścianie. Młodzi fani „Farmy ciotki Bertie” zasypywali autorkę programu Ustami, w których przedstawiali własne wersje tego, co zobaczyli w telewizji. „Wielki wonz konsający ciocie Berty” – nagryzmołił ktoś kredką pod pełną fantazji ilustracją, przedstawiającą zajście z boa dusicielem. Na innym rysunku olbrzymia, różowa na twarzy Bertie toczyła śmiertelny bój z nie ustępującą jej rozmiarami kaczką krzyżówką.

– Martwię się, Bertie – przyznała Scotty, poprawiając na sobie niebieski blezer z emblematem Kanału 50. – Hassledorf sądzi, że Wally Walltham chce mnie zrobić i właśnie dlatego przydzielił mi Quinna.

– Och, Hassledorf to stary aferzysta. – Bertie naląła kubek gęstej, czarnej kawy.

– Dlaczego wszyscy w telewizji muszą tyle plotkować? – Scotty skrzywiła się po łyku wywaru.

– Bo plotkowanie jest zabawne – zaśmiała się Bertie.

Usiadła, oparła stopy na nie otwartym kartonie i zaczęła grzebać w szufladzie, przeszukując spore zapasy żywności.

– Chcesz księżycowy przysmak?

– Nie, dzięki – uśmiechnęła się Scotty. Bertie jak kwoka przygarniała wszystkich telewizyjnych rozbitków, dodając im otuchy, szczerze rozdzielając porady, kawę i najskuteczniejsze lekarstwo na zmartwienia – czekoladę.

Bertie przyjrzała się Scotty ponad szklami okularów.

– Chyba nie pozwolisz, by ten dziwak Quinn załazł ci za skórę? Kochanie, znasz się na robocie, i to lepiej niż Wally Walltham. Masz świetny głos, piękną twarz...

Scotty poczerwieniała. W trudnych chwilach Bertie zawsze działała jak jednoosobowy fanklub.

– Co ty, Bertie – zaprotestowała. – Ja jestem zupełnie przeciętna.

– Pleciesz głupstwa – prychnęła Bertie. – Jesteś bardzo atrakcyjna, mogłabyś jeszcze wiele zmienić na korzyść. Ale ty chcesz sprawiać wrażenie, że w głowie ci tylko praca. Nie doceniasz własnej wartości, Scotty. To jest twój problem.

Scotty skrzywiła się. Już słyszała ten wykład Bertie. Ale jak ona, rodzinny wyrzutek, mogła doceniać swą wartość? I jak mogła być dumna ze swej kobiecości, kiedy tę cechę Morganowie, kultywujący sprawność i prostotę, uważali za skazę?

Bertie niecierpliwie machnęła ręką i zanurzyła ją w torbie z chipsami.

– Ale do czego zmierzam: jesteś przekonana, że chcesz zajmować się sportem. Po co więc przejmować się drobnymi przeszkodami? – Spojrzała na Scotty z wyrazem powagi, ale i życzliwości w oczach. – Na pewno wiedziałaś, że to nie będzie łatwe.

– Tak, wiedziałam – westchnęła Scotty. – Ale nikt przedtem tak mnie nie traktował jak Quinn. To był dla mnie cios.

Bertie zgmiotła torebkę po chipsach i cisnęła ją do kosza, trafiając w sam środek, jak rasowy koszykarz.

– Więc oddaj ten cios, kochanie – poradziła.

– Rozumiem. Dziękuję ci, Bertie. Jesteś lepsza niż witaminy. Chyba zaraz do niego zadzwonię i nie dam mu spokoju, dopóki się ze mną nie umówi.

– Tylko tak dalej – zachęcała Bertie, unosząc kciuk do góry. – Kiedy życie podsuwa ci cytryny, rób lemoniadę. Gdy podsuwa ci męskiego szowinistę, czyli świnię, rób z niej kielbasę.

Scotty uśmiechnęła się szeroko i postawiła kubek na zagrożonym biurku Bertie.

– No to idę ją robić – powiedziała i od razu poczuła się lepiej. Dzwoniąc do Quinna, nieomal czuła zapach smażącej się kielbasy.

Nie zgodził się na rozmowę z nią.

Z irytacją odłożyła słuchawkę i spojrzała na swoją tablicę informacyjną. Zapełniały ją motta Morganów przysyłane jej przez ojca. Jedno z haseł głosiło: „Zwycięzcy nigdy nie rezygnują, a ci co rezygnują, nie zwyciężają”.

W porządku, Quinn, pomyślała ponuro. Jeśli chcesz brudnej gry, proszę bardzo, możemy grać i tak. Ponownie wykręciła jego numer.

– Słucham, kto mówi? – zapytała sekretarka.

– Siostra Mary Frances z wydziału języka angielskiego – Scotty naśladowała trzęsący się głos starszej pani. – Jeden z graczy pana Quinna ma słabe stopnie.

Muszę natychmiast z panem trenerem porozmawiać.

– Już łączę, siostró.

– Quinn, słucham. – Jego przeciągły akcent z Oklahomy był jeszcze wyraźniejszy, gdy mówił do słuchawki. Nagle, ni stąd, ni zowąd, Scotty przypomniały się błękitne oczy, spoglądające spod ciemnych, ostro zarysowanych brwi.

– Panie trenerze – starała się mówić tak szybko, jak tylko potrafiła – tu Scotty Morgan z Kanału 50. Nie możemy się porozumieć i myślę...

– Ma pani rację – odpowiedział jej miły głos. – Nie możemy się porozumieć. Do widzenia.

Z wściekłości złamała ołówek i jeszcze raz wykręciła numer.

– Słucham, kto mówi?

– Biuro doktora Bicklesa – powiedziała Scotty ze złością. Trzymała się za nos, żeby zmienić barwę głosu. – Mamy wyniki badań krwi pana Quinna. Obawiam się, że wypadły niepomyślnie.

– O Boże – westchnęła sekretarka i połączyła ją.

– Panie Quinn, za kogo pan się, u diabła, uważa? – zaatakowała, rezygnując z wszelkich pozorów kulturalnej rozmowy. – To jest dyskryminacja najczystszej wody. Pan wie, że za coś takiego można trafić do sądu. Nie chcę przekraczać granic przyzwoitości, ale...

– Więc proszę tego nie robić. Od złości robią się zmarszczki.

– Ty podły g-gadzie – wydusiła z siebie, ale Quinn już się rozłączył.

Po raz pierwszy w życiu zrozumiała, co może ludzi . popychać do popełnienia morderstwa.

– Jakież kłopoty? – zapytał Wally Walltham, kierownik działu sportowego, wchodząc do pokoju. Miał na sobie, tak jak Scotty, granatowy blezer z emblematem Kanału 50. Jego nalaną twarz rozjaśniał protekcyjny uśmiech.

– Nic, z czym bym sobie nie poradziła – bąknęła.

– Jak poszła rozmowa z Quinem? – Wally w lusterku oglądał siwiejące włosy.

– Ciągłe robi trudności – powiedziała, starając się nie zdradzać żadnych uczuć.

– Nie przejmuj się, poradzę sobie z nim.

– No, lepiej się postaraj – odparł Wally ziewając. Ziewnięcie obudziło w nim zainteresowanie własnymi zębami. Ich nieskazitelną biel podziwiał w lustrze. – Bo jeśli nie dasz sobie rady, to będę ci musiał dać inne zadanie.

Poczuła wewnętrzny skurcz i pomyślała, że może jednak Hassledorf miał rację. Wally nie lubił oddawać swego terytorium kobietom – nie zamierzał go oddać i

tym razem. Przed panem Poteau mógł zasłonić się porażką Scotty.

– Wally, jaki jest adres Quinna? – zapytała wprost.

– A co, masz zamiar wysłać mu kwiaty? – odparował.

– Nie, mam zamiar przygwoździć go tam, gdzie nie może zasłonić się swoim asystentem ani sekretarką. – W głosie Scotty była zawziętość. – Chcę stanąć z nim twarzą w twarz.

– Ty chyba naprawdę lubisz obrywać, co, panno Morgan? – zaśmiał się.

– Po prostu próbuję wykonywać swoją pracę. Więc gdzie on mieszka?

W końcu Wally uległ i podał jej adres, ale, gdy wpisywała go do notesu, burczał, że mężczyźni nie cierpią natarczywych kobiet.

W głębi duszy pomyślała, że to prawda.

Quinn mieszkał w nowoczesnym, parterowym domku z białej cegły, który stanowił naturalną jedność ze stokiem. Szerokie, widokowe okna wychodziły na rozległy trawnik. Bijące z nich światło rozpraszało gęstniejącą ciemność zimowego wieczoru. Rzędy bezlistnych magnolii wytyczały drogę podjazdową do domu. Po lewej stronie rósł stary sad jabłoniowy. Za domem stała wielka, nowa stodoła, a w oddali bieleł się płot.

Najwyraźniej nie roztrwoniał astronomicznych sum, jakie musiał otrzymywać, gdy grał w drużynie zawodowej. Ta farma była prawdziwym klejnotem. Scotty wyobraziła sobie kwitnące na wiosnę jabłonie i magnolie – to musi być istny ocean kwiatów.

Zaparkowała swego wiekowego, beżowego ramblera na podjeździe przed domem i zastanawiała się, co będzie, gdy Quinn ją zauważy. Czy zatrzśnie jej drzwi przed nosem? Czy duma pozwoli jej obozować na progu do świtu?

Wysiadła z samochodu, szczelnie okrywając się kurtką koloru wielbłądziego. Było ładnie, nieomal ciepło, ale ona odczuwała niewytłumaczalną chęć, by czymś się osłonić.

Brazowo-biały pies, wyglądający na dość leciwego, wybiegł z domu, zlustrował ją ze spokojem filozofa Wschodu, po czym na powitanie machnął dwa razy ogonem, z rezerwą, ale przyjaźnie. Miał brązową łatę nad jednym okiem albo białą nad drugim – w zależności od tego, jak kto na niego patrzył.

Zza domu dochodziło ciężkie, rytmiczne stukanie siekiery. Pies raz jeszcze obdarzył ją długim, rozważnym spojrzeniem, po czym oddalił się tam, skąd dochodził dźwięk.

Scotty poszła za nim. Gdy minęła róg domu, zobaczyła Quinna. W dzinsach i bez koszuli rąbał pniaki ze stosu. Wokół szyi miał okręconą spłowiałą, czerwoną

chustę. Muskuly ramion lśniły w świetle podwórzowej lampy. Wychowała się w domu z kilkoma pięknie umięśnionymi braćmi, a jednak nie widziała mężczyzny, który by tak jak on prezentował surową męskość. W gasnącym świetle wyglądał jak jakiś bóg albo wojownik.

– Hej, Mo – powiedział, ujrawszy psa. – Co... – przerwał w chwili, gdy siekiera rozłamała pniak, dokładnie go przepoławiając.

Jego oczy przeszywały ją na wylot. Mięśnie twarzy miał ściągnięte. Stanął w rozkroku i powoli wyprostował się, opuszczając siekierę. Oparł ciężar ciała na prawej, zdrowej nodze, co sprawiło, że drugie biodro lekko się uniosło.

– Proszę, proszę – powiedział, nie spuszczać z niej oczu.

Siła jego wzroku, jak również szerokość ramion i oczywista siła rąk wprawiały Scotty w zakłopotanie. Usiłowała nie patrzeć na jego potężną klatkę piersiową, na której ciemne kręcone włosy układały się w kształt pary skrzydeł.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać – powiedziała, a serce zaczęło jej bić szybciej. Czuła na sobie jego wzrok. Czy on w ogóle nie mruga powiekami? – zastanawiała się nerwowo. Jakie wspaniałe oczy!

– Mo cię nie ugryzł. Wstyd. Widać, że się starzeje. Scotty wsunęła ręce głęboko w kieszenie kurtki.

Spróbowała tonu żartobliwego:

– Czy ma gryźć wszystkich, czy tylko dziennikarki? Quinn zdjął chustę z szyi i przetarł nią najpierw czoło, a potem piers.

– Wszystkich – odpowiedział w końcu. – I zazwyczaj to robi. To znaczy, wszystkich, którzy na to zasługują. On jest znakomitym znawcą charakterów. Właściwie był. Do dziś dnia.

– Może jednak wciąż jest – przekonywała. Wepchnął chustę do tylnej kieszeni i położył dłoń na wąskim biodrze. Spojrzał na nią z przekąsem.

– Założę się, że mogę teraz powiedzieć parę rzeczy o tobie. Choćby to, że jesteś tu służbowo, nie dla przyjemności. – Pytająco uniósł ciemne brwi.

– Nie wiem, jakich przyjemności miałabym się spodziewać – odparła sucho. – Zwłaszcza po tym, jak mnie pan potraktował.

Roześmiał się, schylił, by podnieść połówkę pniaka, który rozłupał i rzucił je na stos za domem. Znów się wyprostował.

– Mógłbym ci pokazać najróżniejsze przyjemności...

Zdenerwowana, odwróciła od niego wzrok i przypatrywała się nagim gałęziom drzew w sadzie. Noc zapadała tak szybko, że już je ledwo dostrzegala.

– Ach – cedził słowa z udawaną troską – pani się zawstydzila, bo nie mam na

sobie koszuli. Patrzyłaś na mój pępek, jakbyś widziała coś takiego pierwszy raz. A może małe reporterki nie rodzą się, ale są wypluwane przez jakąś wielką, złowrogą maszynę?

– Doprawdy?! – powiedziała ze złością. – Nie rozumiem, co pępki mają z tym wszystkim wspólnego. Chcę z panem rozmawiać. To moja praca, a pan nie daje mi jej wykonywać.

– Pępki mają z tym wiele wspólnego, skarbie. Jak wyobrażasz sobie pracę ze sportowcami, skoro wystarczy ci widok męskiego pępka, byś z przerażeniem odwracała oczy? Spokojnie, bez nerwów. Już zakładam koszulę. Ale, kochanie, jeśli myślisz, że ta rozmowa jest na niskim poziomie, to nie spodziewaj się, że pójdziesz ci lepiej w szatni z chłopcami. – Narzucił koszulę na ramiona, nie kłopotując się zapinaniem guzików.

Uświadomiła sobie ze złością, że próbował złamać jej ducha. Mało tego, wychodziło mu to zupełnie nieźle.

– Panie Quinn – rzekła stanowczo – dyskryminuje mnie pan.

– Daj spokój, panno Morgan, do czego ty zmierzasz? Chcesz wkroczyć na drogę sądową? Po co? Bo akurat ja jestem uczciwy. Wielu mężczyzn nie lubi, gdy dziennikarki zajmują się sportem. Chcesz zrobić ze mnie kozła ofiarnego, bo nie jestem hipokrytą?

– To najbardziej śliski argument, jaki kiedykolwiek słyszałam. – Głos Scotty był lodowaty. – Ja pana prześladowuję? Proszę to powtórzyć w sądzie, panie Quinn. Bo jeśli nie pozwoli mi pan wykonywać pracy, będę musiała się do tego uciec.

– Po co ci w ogóle ta praca, panno Morgan? To nie jest w twoim stylu, jak mi się zdaje. Pies wyraźnie też jest tego zdania. Zawsze warczy i szczeka na agresywnych ludzi.

Scotty z mieszanymi uczuciami spojrzała na dziwnego, starego psa, który śledził ją swymi oczyma mędrca.

– Ta praca nie musi „być w moim stylu”. Ja nie jestem wojowniczo usposobiona...

– W takim razie nie nadajesz się do niej, skarbie.

– Uśmiechnął się, wciągając koszulę w spodnie. – Powinnaś lubić zapach krwi. A, jak mi się zdaje, nie lubisz.

– Nie jestem wojowniczo usposobiona – Scotty mówiła dalej, jak gdyby Quinn jej nie przerwał – ale jestem gotowa na wszystko, choć wierzę w zasady fair play.

Quinn zrobił krok w jej stronę i Scotty poczuła, że sztywnieje jej kark. Stali teraz twarzą w twarz, oddaleni od siebie o centymetry. Zauważyła, że jego wielkie

dłonie posuwają się powoli w jej kierunku. Drgnęła mimowolnie, poczuła jak w jej wnętrzu coś podnosi się i rozplywa, a efektem jest ssanie w żołądki i miękkie nogi. Ale Quinn podniósł tylko kołnierz jej kurtki i poprawił jej wełniany szalik.

– To z zimna czy z przestachu? – zapytał. Spojrzał na nią z góry. Połowa jego twarzy złociła się w świetle, połowę skrywała ciemność. Mimowolnie cofnęła się.

– Oddaj samej sobie przysługę, panno Morgan – powiedział, wciąż patrząc na nią z góry. – Wycofaj się. Rzuć tę pracę. Zrzuć siebie. Uwierz mi. Byłem już tego świadkiem.

– Pan jest moim zadaniem – wycedziła przez zęby. – Nie wycofam się. Nie porzucę pracy. Nie zrezygnuję.

– Spojrzała na niego wyzywająco.

– W takim razie odprowadzę cię do samochodu – odparł burkliwie, biorąc ją pod ramię. Jego uścisk był bezlitosny, a wysokość budziła respekt. Robił tak duże kroki, że znaleźli się przy samochodzie, zanim Scotty zdążyła zaprotestować bądź odepchnąć jego władcze ramię.

Temperatura musiała obniżyć się o kilka stopni, bo Scotty lekko dygotała i widziała, jak ich oddechy zamieniają się w smużki pary.

– Zaprosiłbym cię do środka – wymruczał – gdybyś zechciała odwiedzić mnie jako kobieta, nie reporterka. Ale to chyba ostatnia rzecz, jakiej pragniesz, panno Morgan.

Przez chwilę twarz Quinna była tak oszalamiająco blisko jej twarzy, jakby miał zamiar ją pocałować. Serce Scotty chciało wyrwać się z ciała i połączyć z ulatującym w mroźną noc oddechem.

W tym momencie Quinn gwałtownie odwrócił się i zniknął w ciemnościach.

– Nie zrezygnuję! – krzyknęła za nim. Jej serce powróciło do ciała i zdawało się rozpętywać w piersiach małą burzę z piorunami.

Rozdział 3

– No i co, udało ci się przydybać Ouinna w jego jaskini? – zapytał Wally Walltham nazajutrz po południu. Wpatrywał się w lusterko na biurku i szczypczykami wyrywał spod nosa włoski, które jego zdaniem mogła uchwycić kamera.

– Rozmawialiśmy. Znacznie lepiej rozumie teraz moją pozycję – odpowiedziała na odczepnego.

– Z tego, co słyszałem, najchętniej zobaczyłby cię w pozycji na wznak – zaryzykował Wally. – Auu! Boli!

– Wally, czy naprawdę musisz to robić tutaj? – zapytała Scotty z grymasem na twarzy. – I co ty w ogóle pleciesz?

– Muszę dbać o swój image przystojniaczka – odparł Wally, przyglądając się w lusterku nosowi. – A co plotę? Quinn zostawia wśród kobiet takie spustoszenie jak generał Sherman w Georgii. To może jedna z przyczyn, dla których ty go zniechęcasz. Nie przywykł do widoku kobiet, które stoją.

– Czy wiedziałeś o tym wszystkim, zanim przydzieliłeś mi tę robotę? – Ton głosu Scotty był niefrasobliwy, ale myśli miała posępne.

– No, wiedziałem, że nie będzie łatwym partnerem – przyznał Wally, unosząc brwi. – Ale spodziewałem się, że poradzisz sobie z nim. Jeśli nie dajesz rady, to widocznie nie jesteś stworzona do tej pracy. Ale posłuchaj ostrzeżenia starego Wujka Wally’ego: ten facet to prawdziwy Don Juan. Jeśli nie zdoła pozbyć się ciebie, następnym krokiem będzie próba uwiedzenia. Ma zresztą rachunek do wyrównania. Słyszałaś o Helenie Schaffer z Bostonu?

– Nagle wszystko zaczęło się układać w spójną całość. Helena Schaffer była piękną brunetką o aksamitnych oczach, jedną z pierwszych kobiet, które przebiły się do telewizyjnego dziennikarstwa sportowego. No i pracowała w Bostonie, gdzie Quinn grał przez prawie dziewięć lat.

– O co chodzi z tą Schaffer? – zapytała najobojętniej jak potrafiła. Czytała o niej artykuł w „TV Guide”. Była jedną z nielicznych kobiet, które należały do czołówki telewizyjnego dziennikarstwa sportowego, a jej urodę kwitowano słowami: „zabójczo piękna”.

– Quinn i Schaffer byli na ustach wszystkich – poinformował ją Wally. – Mówimy tu, panno Morgan, o poważnej historii, prowadzącej do ołtarza. Byłem wtedy na Wschodzie. Tutaj aż huczało od plotek. Rozumiesz, telewizyjna sława i

piękność z dobrej, starej rodziny z Connecticut wychodzi za gwiazdę koszykówki, faceta o wyglądzie kowboja. Boże, niezły z niej kociak...

Scotty z trudem przełknęła ślinę. Nazwać Helenę Schaffer kociakiem znaczyło nie doceniać jej. Należała bowiem do kobiet, które sprawiają, że reszta płci pięknej chce się z góry poddać i wstąpić do najbliższego klasztoru.

– Co zaszło między nimi? – zapytała Scotty z akademicką dociekliwością. Każde słowo tej rozmowy powinna na trwałe zapisać w swoich komórkach mózgowych. Quinn był w jej typie – aż za bardzo, biorąc pod uwagę jej dobro i to, że wybierał takie kobiety jak Helena Schaffer.

– Nie wiem dokładnie – obojętnie odparł Wally, polerując paznokcie. – Quinn namawiał ją, żeby porzuciła telewizję. Żeby siedziała w domu i wychowywała małych Quinnów. Ale trafiła kosa na kamień. Powiedziała mu, że ma swoje własne życie.

Scotty odczuła coś w rodzaju mieszaniny zazdrości i goryczy.

– Tak więc ona go splawiła, a ja muszę teraz za to płacić – powiedziała.

– Posłuchaj, Morgan – zaczął Wally, oglądając swoje paznokcie. – Sądziłem, że Quinn będzie twardy, ale nie aż tak. Poza wszystkim, z pewnością nie jesteś kobietą w stylu Heleny Schaffer.

Scotty przygryzła wargę, słysząc ten niezgrabny komplement. Z pewnością nie jest kobietą w stylu Heleny Schaffer. Nie jest piękna, czarująca, podziwiana, jej pozycja nie jest pewna. Nie jest także nieustraszona, silna ani sprytna. Jest po prostu zwykłą, poczciwą Scotty Morgan. Wally'ego prawdopodobnie zaskoczyło, że Jed Quinn w ogóle dostrzegł w niej kobietę.

– Poza tym – wesóło kontynuował Wally – twoja sytuacja jest właściwie wygodna. Quinn jest arogancki, zarozumiały i jednocześnie skazany na porażkę. Na pewno nie zmieni swego postępowania i nie będzie nadskakiwać prasie, a szkoda. Przecież kibice dowiedzą się o jego złym nastawieniu i też go znienawidzą. O rany, ten sezon będzie dla niego prawdziwym piekłem. Jego zespół może najwyżej zasłużyć na nagrodę „Bubla” przyznawaną najsłabszym.

– Sugerujesz, że nieważne, czy on ze mną porozmawia, bo i tak nie będzie nikogo interesował?

– Neeee – rzucił Wally w zadumie. – Chodzi mi po prostu o to, że jeśli będziesz go ostro atakować, nikt nie będzie winił ciebie; facet sam się o to prosi. To znaczy, jeśli stać cię na to, by go ostro atakować. Zawsze mogę przecież przydzielić cię do rozgrywek juniorów albo czegoś takiego...

Scotty z determinacją zacisnęła usta. Miała już dość ostrzeżeń Wally'ego, miała

po dziurki w nosie Jeda Quinna.

– Potrafię grać tak ostro, jak to konieczne – mruknęła. – Wybieram się na mecz dziś wieczorem. Jak jego zespół dostanie w kość, to być może będę jedynym reporterem, który będzie chciał z nim rozmawiać.

– Jak chcesz – odparł Wally, wyraźnie znudzony. – Ale kibice niechętnie słuchają wiadomości o tym, że ich drużyna dostała lanie na własnym podwórku.

– Biedne Szare Wilki – mruzczała Scotty. – Może to kiepski zespół, ale zasługują przynajmniej na przyzwoitego trenera.

Otworzyła miejscową gazetę i jeszcze raz przejrzała artykuł o drużynie. „W tym sezonie po Wilkach nie można się wiele spodziewać. Zawodnicy są nie tylko niscy, ale również zupełnie zieloni w koszykówce. Do drużyny takich małych zielonych ludzików bardziej pasowałaby nazwa Marsjanie. Quinn jednak twierdzi, że ma do nich zaufanie. To potwierdza stare powiedzenie: nadzieja matką (...)”. Aprobując pokiwała głową. Wielki Quinn ma zostać upokorzony, no i świetnie. Myśli, że ją odstraszy, tak? Myśli, że ją zauroczy, tak? Myśli, że ją powstrzyma, tak? Już ona mu pokaże, i Wally’emu Wallthamowi także. Walka się dopiero rozpoczyna.

Tego wieczoru w okrzykach kibiców Szarych Wilków, którzy przyszedli do Benton Arena, brakowało entuzjazmu. Nawet wodzireje w czarno-złotyach strojach młynkowali bez przekonania, jakby z góry znali niekorzystny wynik.

Scotty stała przy Unii bocznej z zieloną kartą prasową przyczepioną do guzika blezera i magnetofonem przewieszonym na pasku przez ramię. Hassledorf sprawdzał kamerę. Trwała rozgrzewka. Każda z drużyn rzucała piłkę do kosza po swojej stronie.

– Wilki wyglądają jak stado karłów – gderał Hassledorf, przyglądając się wyższym zawodnikom Taryton. Środkowy napastnik, dwa metry dziesięć wzrostu, wyglądał tak, jakby sam był w stanie pokonać Wilki. – Zapowiada się rzeź.

Wielki Quinn, wciśnięty w trzyczęściowy ciemny garnitur, siedział zamyślony na ławce pomiędzy asystentami. Jego błękitne oczy spoczęły na Scotty raz, i to na krótko. Pozwolił sobie wtedy na półuśmiech, który wykrzywił mu kącik ust.

Serce Scotty wyrwało się gdzieś i przez chwilę jakby zawisło nad przepaścią. Z trudem odzyskała spokój i opanowała jego przyśpieszone bicie. Musiała przypominać sobie, że Quinn jest szowinistą, uwodzicielem, manipulantem, chociaż... gdyby nie to... Co za elektryzujące niebieskie oczy... I jeszcze te ciemne rzęsy... Ona jednak interesuje się nim wyłącznie zawodowo.

– Z powodzeniem mógłbym usiąść pod koszem, do którego będą rzucać ci z

Taryton – Hassledorf snuł ponure prognozy. – Po przeciwległej stronie nie będzie się wiele działo, nic tam ciekawego nie sfilmuję. No trudno. Przydałoby mi się trochę ruchu.

– DO BOJU, DO BOJU! – dopingowali z Unii bocznych zdesperowani wodzireje.

– Do boju – odpowiadali słabym echem pojedynczy kibice Wilków, wyraźnie bez animuszu.

A jednak Wilki... ruszyły do boju. Już przed przerwą całą salę ogarnęło istne szaleństwo. Hassledorf biegał w tę i z powrotem, gdyż akcja szła za akcją. Wynik był remisowy. Nie wiadomo skąd na skraju boiska zjawił się Duff Freely z Kanału 37, pospiesznie przypinając prasową plaketkę do guzika sportowej kurtki.

– Co, na miłość boską, się tutaj dzieje? – pytał. Kamerzysta z Kanału 37 był zasapany tak jak Hassledorf. Kanał 3, który początkowo nie zamierzał filmować meczu, nagle wytrzasnął skądś kamerzystę. Właśnie rozstawiał sprzęt.

Scotty, zupełnie osłupiała, mrugnęła na Duffa. Krew w jej żyłach zdawała się krążyć z podwójną szybkością. Jak przystało na prawdziwego fanatyka koszykówki, była podniecona mogąc śledzić mecz, który jakby został przeniesiony na ziemię z jakiegoś koszykarskiego nieba.

– To cud! – krzyczała nieprzytomnie. – Niskie chłopaki dają w kość dryblasom.

– Boże – w głosie Duffa była gorycz – nawet nie słuchałem relacji z tego głupiego meczu w radiu. Skąd się wziął taki wynik? W zeszłym roku Taryton pobił Wilki w walce o mistrzostwo ligi. Taryton jest na szczycie. Oni mają doświadczenie... Co zrobił ten Quinn? Zaprzedał duszę diabłu?

Quinn, pomyślała Scotty, zapominając o koszykarskich emocjach.

– Dokonał rzeczy niemożliwej – przyznała niechętnie. – Poszedł na całość. Ostra obrona, ostry atak. Nigdy nie widziałam tylu szybkich kontr.

– Długo tak nie pociągnie – powiedział Duff pogardliwie. – Dzieciaki tego nie wytrzymają.

– Johnowi Woodenowi z UCLA jakoś się udało – odparowała Scotty, przywołując nazwisko trenera koszykówki o sławie geniusza. – Doprowadził podobny zespół do mistrzostwa kraju.

Pokręciła głową, ciągle nie dowierzając temu, co widziała w pierwszej połowie. Gdyby Quinn potrafił wydusić z graczy taką energię, gdyby potrafił ją podtrzymać, Szare Wilki byłyby zespołem, o jakim marzy każdy kibic. Byłaby to historia rodem z bajki o Kopciuszku.

– Nie utrzymają tej formy – upierał się Duff. – To tylko szczęśliwy traf. –

Spojrzał na jej rozpromienioną twarz, błyszczące oczy i dodał: – Prawda?

– Nie wiem – odpowiedziała, patrząc na pustą ławkę Wilków. Przed oczami stanął jej pogardliwy uśmiech Quinna, jego lodowate, błękitne oczy. Przeszedł ją dreszcz. Może, może jednak jest tak dobry, jak o sobie myśli?

Druga połowa rozpoczęła się z prędkością rakiety, zmierzającej ku krańcom galaktyki. Hassledorf tak się uganiał za błyskawicznie kontrującymi Wilkami, że sapał jak lokomotywa, gdy mijał Scotty i Duffa.

– Dostanę zawału – dyszał wyczerpany.

– Dlaczego nie przestanie kręcić? – gderał Duff. – Wszyscy to zrobili. Przynajmniej do końcówki. Stary dureń powinien odpocząć.

– Nie rezygnuje, bo jest Hassledorfem – powiedziała Scotty z czułością. I ja mam to we krwi, pomyślała.

Zawodnicy Taryton popełnili kolejny błąd. Wilki zapędzały rośniejszych przeciwników w kozi róg. A Hobie Grant, nowicjusz z Chicago, był najszybszym i najśmielszym z zawodników. Mierzył dwa metry, był czarny, gibki, przystojny. Wykonał parę niecelnych rzutów, ale skakał tak, jakby miał w nogach napęd odrzutowy. Zmęczony środkowy napastnik Taryton zdawał się tracić w oczach centymetry wzrostu.

Quinn dorównywał ruchliwością zawodnikom: kuśtykał w tę i z powrotem wzdłuż linii bocznej, wykrzykiwał rozkazy, a z jego oczu bił zimny płomień. Wykonał już zwyczajowy strip-tease zdenerwowanego trenera. Najpierw zrzucił marynarkę, potem kamizelkę, a na końcu krawat. Rozluźnił kołnierzyk białej koszuli i podwinął mankiety, odsłaniając muskularne przedramiona. Na plecach widać było szeroką smugę potu, a kręcone włosy opadały mu na czoło. Jego twarz wyrażała całą gamę uczuć: zdziwienie, odrazę, gniew, determinację, zachętę, zmartwienie, uniesienie, a chwilami – czystą próżność. Jak wielu trenerów, nie stronił od dramatycznych póz; niektóre werdykty sędziego przyjmował z pasją, której nie powstydziliby się aktor szekspirowski. Wypreżał się jak ktoś mający zmieść z posad pogańską świątynię, to znów kuczał z gniewem i niedowierzaniem, jakby chciał cofnąć się do epoki prawa dżungli. Tłum uwielbiał takie gesty.

Kiedy ostatni dzwonek obwieścił koniec gry, Szare Wilki prowadziły dwoma punktami. Ekstacyczne wycie kibiców niesło się poprzez arenę i jakby odbijało się echem od wierzchołków okolicznych gór. Słyszać było okrzyki najczystszej radości, głoszące, że Szare Wilki żyją i mają się dobrze. Ta zima nie będzie czasem ciemności i żałoby, ale świętowania.

Quinn postawił na swoim, pomyślała ze zdumieniem Scotty, usiłując otrząsnąć

się z euforii. Naprawdę mu się udało. Prawdopodobnie tresował swych graczy jak pan niewolników, ale udało mu się. Gdyby zobaczyła słonia-samotnika, którego pokonuje grupa mrówek, nie byłaby chyba równie zaskoczona.

Patrzyła, jak schodzi z boiska. Miał twarz spokojną i beznamietną jak pasażer metra w powszedni dzień. Nie wyglądał na trenera, którego zespół właśnie odniósł niespodziewane zwycięstwo. Wielkie nieba, pomyślała. Nawet nie robi wrażenia szczęśliwego. Jest raczej zatroskany jak generał, szacujący kosztą tej bitwy i planujący już następną.

Duff i Mahony z Kanału 3 wespół z grupą dziennikarzy z radia i gazet tworzyli kolejkę za trenerem. Scotty ścisnęła w dłoni mikrofon, chwyciła za ramię czerwonego, zadyszanego Hassledorfa i podążyła za tłumkiem wychodzącym z sali i idącym w kierunku szatni.

Quinn zatrzymał się przed drzwiami, rozejrzał po korytarzu niewidzącym wzrokiem, jakby miał ważniejsze sprawy na głowie. Gdy w grupie dziennikarzy dostrzegł Scotty, zacisnął usta, z wyraźną irytacją uniósł brwi i wszedł do szatni. Duff, Mahony i cała reszta wśliznęli się za nim. Hassledorf stanął w miejscu, z odrazą kręcąc głową.

Scotty pomyślała o ostrzeżeniu Wally'ego, że musi być twarda i o stwierdzeniu Quinna, że jest nie dość twarda. To dodało jej tyle animuszu, że poczuła się odporna na wszelkie ciosy.

– No dalej – dopingowała Hassledorfa, wskazując na drzwi szatni. – To tylko drzwi. Już nas nie zatrzymają. Sfilmowałeś mecz o niebo lepiej niż pozostali kamerzyści, a teraz możemy mieć pełny materiał.

Hassledorf powtórnie pokręcił głową, miał błędny wzrok.

– Szatnia – wy stękał, kciukiem pokazując na drzwi.

– Ekipa telewizyjna! – odparowała, wskazując najpierw na niego, potem na siebie. – Wchodzę, z tobą czy bez ciebie.

– Beze mnie – sztywno asekurował się Hassledorf.

– W porządku – powiedziała z zaciętym wyrazem twarzy. – Idę sama.

Otworzyła drzwi i, czując się jak Alicja wkraczająca do Krainy Czarów, znalazła się w męskiej szatni.

Hassledorf westchnął rozpaczliwie, ale podążył za nią.

Spod pryzmicy dobiegł nagle przeraźliwy krzyk – to Hobie Grant, przyodziany tylko w niebieskie szorty, ujrawszy Scotty zareagował tak, jakby do szatni zakradł się olbrzymi czarny pająk.

– Czy możemy utrzymać takie tempo? – mówił Quinn do mikrofonu. – Tak.

Chłopaki trenują, jakby mieli grać trzy połowy, a nie dwie. Pracują tak ciężko, jak to tylko...

Przerwał i z niedowierzaniem wpatrywał się w Scotty i Hassledorfa.

– Co u licha... – zaczął.

Duff Freely roześmiał się Scotty prosto w twarz. Cokolwiek Quinn miał do powiedzenia, zagłuszyły to krzyki i gwizdy zawodników.

– Patrzcie, chłopaki, reporter w spódnicy!

– Szybko, dawajcie ręczniki!

– Kochanie, dam ci wywiad, kiedy chcesz – pod prysznicem!

– Robisz za faceta, ale niezły z ciebie kociak...

– Niech ją pan wyrzuci, trenerze. To jest miejsce dla mężczyzn.

Quinn machnął ręką, natychmiast ich uciszając.

– Lepiej sięgnijcie po ręczniki, chłopcy – wycodził, zwracając się do nagich i półnagich zawodników. – Zostaliśmy napadnięci. Nie ma już nic świętego.

Scotty próbowała nie zwracać uwagi na fakt, że była w pokoju razem z mężczyznami, rozebranymi w różnym stopniu. W przepoconym pomieszczeniu zapadła jednak martwa cisza.

Jed Quinn zwichrzył włosy potężną dłonią. Twarz wydłużyła mu się złowieszczo, usta przybrały groźny wyraz.

– Proszę, proszę. – Przeszywał ją wzrokiem. – Przyszedłeś zobaczyć więcej pepków? Co się stało? Mój ci nie odpowiada?

Ta uwaga zawstydziła ją, ale nie mogła się poddać.

– Czy ma pan zamiar utrzymać ściśle krycie przez cały sezon? – zapytała. – Czy taka będzie taktyka na mecz z Augustaną? – Podsuwała mikrofon Quinnowi, mile zdziwiona, że nie trzęsie się jej ręka.

– Panno Morgan, to jest męska szatnia. Kobiety tu wstępu nie mają. Moi zawodnicy nie są głupi i od razu zwrócili na to uwagę.

Nie zbiło jej to z tropu.

– Czy myślał pan o przejściu do ustawienia dwa-dwa-jeden? – zapytała.

Gwałtownie wzruszył ramionami, jakby zganiał z nich komara. Rozejrzał się wkoło i z tłumioną wściekłością przemówił do zgromadzonych mężczyzn:

– Tak, chłopcy. To jest kobieta. Skąd o tym wiemy? No cóż, pewne rzeczy na to wskazują. – Omiótł ją spojrzeniem, zatrzymując się na piersiach i biodrach. – Na przykład to, że nie słucha. Nie, chłopcy, nigdy was nie posłucha.

Scotty przypomniała sobie, że nie powinna dać się zastraszyć.

– Pytałam pana o obronę strefową – zaczęła najspokojniej jak umiała, ale czuła,

że zaczyna poddawać się emocjom.

– Powiem wam coś, chłopcy. Nie mam żadnych uprzedzeń, ale kobieta w męskiej szatni jest zupełnie niepotrzebna. Zauważcie: nie twierdzę, że kobiety nie nadają się do niczego. Wprost przeciwnie. Do wielu *rzeczy* się nadają. Patrzcie uważnie, zademonstruję wam.

Zrobił dwa długie kroki i już przytłaczał ją swoim ciałem.

O Boże, pomyślała Scotty z przerażeniem. Słyszała szum kamery Hassledorfa i chichot Duffa Freely’ego.

– Kobiety dobrze jest obejmować – powiedział Quinn z wyraźnym samozadowoleniem.

Nagle poczuła, że jego silne ramiona unoszą ją w górę, że jej stopy odrywają się od ziemi. Na próżno wierzgała i próbowała utrzymać mikrofon w stosownej odległości. Ramię miała wciśnięte w jego szeroką pierś. Czowała słaby zapach płynu do włosów, zmieszanego ze świeżym potem i tytoniowym dymem.

Rozpaczliwie podstawiała mu mikrofon pod zaciśnięte usta.

– Kobiety dobrze jest obejmować. Mocno obejmować. – Przycisnął ją do siebie tak mocno, że zabrakło jej tchu. Tkwiła w jego uścisku jak w żelaznej obręczy. – Kobiety dobrze jest też całować – powiedział przeciągle, a na jego opalonym policzku pojawił się dołek. – Zwłaszcza całować na pożegnanie. Zegnaj, panno Morgan.

Wpił się w jej usta, z początku szorstko i zaborczo. Próbowwała złapać oddech, ale nie mogła. Pocałunek trwał nadal, nieustępliwy, przez chwilę jakby łagodniejszy, ale potem jeszcze gwałtowniej przybierający na sile.

Oszołomiona jego męskim zapachem, wyczuwała jednak siłę szczupłych rąk, trzymających w kleszczach jej ciało, i wilgotne ciepło wprawnych ust. Na chwilę otworzyła szeroko oczy i jak przez mgłę dojrzała jego ciemne rzęsy. Potem zaciśnęła powieki w odruchu samoobrony i odwróciła głowę, próbując uwolnić się od naporu tych nazbyt doświadczonych ust.

– Brawo, trenerze! Dobra robota!

– Dalej, kowboju!

Pokrzykiwania zawodników zlewały się w jedno. Czowała się bezradna, oszołomiona, jak kobieta, która śni koszmarne sen i nagle nabiera on sensu erotycznego. Nikt jej jeszcze tak nie całował; zupełnie utraciła panowanie nad mięśniami twarzy. Uginały się pod nią kolana, całe ciało było bezwolne i uległe. A on nie przerywał pocałunku. Nagle oderwał usta od jej ust. Uświadomiła sobie, że mikrofon boleśnie wrzyna się jej w ramię. Cofnął twarz i nie rozluźniając uścisku

patrzył z satysfakcją na zamęt malujący się w jej zielonych oczach.

– Jak już powiedziałem, żegnaj, panno Morgan – jego głos zmatowiał od udawanego wzruszenia.

– Jeśli kiedykolwiek zachcesz powtórki, wchodź tu śmiało. Będę do usług.

Poczuła, że niesie ją w stronę drzwi, które otworzył jednym kopniakiem. Doznała dotkliwego upokorzenia: po prostu ją wyrzucił. Niezbyt delikatnie postawił Scotty na ziemi.

– Masz miłe usta – oznajmił z obraźliwą poufałością. – Ale już nie przychodź. Cześć.

Obciągnęła blezer i spiorunowała go wzrokiem.

– Panie Quinn – powiedziała trzęsącym się głosem – właśnie pogwałcił pan około dwudziestu moich praw obywatelskich!

– Wejdz raz jeszcze, to pogwałcę coś znacznie ciekawszego.

Zamknął drzwi, ale ona kopnęła w nie najsilniej jak potrafiła. Po chwili drzwi znów się uchyliły i z kolei Hassledorf wyleciał na zewnątrz.

– Kamerzysta też niech się trzyma z dala ode mnie. Jesteście niniejszym wyrzuceni. Wydaleni. Skończeni. Kaput. Żegnajcie. – Kpiąco pomachał jej ręką i zamknął drzwi. Scotty ponownie w nie kopnęła, tym razem tak mocno, że w jej oczach pojawiły się łzy. Po chwili ból ustąpił, ale łzy pozostały.

– Och, Hassledorf – pochlipywała – co ja takiego zrobiłam? Czy jemu to wszystko ujdzie na sucho?

Kamerzysta był dziwnie spokojny, nawet zadowolony.

– Świetnie się spisałaś, dzieciaku. – Pokiwał głową z satysfakcją.

– Ja?! Świetnie? Na pewno – wyszłochła. Odwróciła się i w bezsilnej wściekłości uderzyła pięścią w zimną, gładką ścianę korytarza. – Gdybym spisała się jeszcze lepiej, musiałabym popełnić samobójstwo. Och, nienawidzę tego człowieka! Nienawidzę go!

– Hej, dzieciaku – powiedział Hassledorf, z tym samym dziwnym uśmiechem. – Nie ma się co martwić. – Z czułością poklepał swą kamerę, jakby to był wierny pies. – Mam tu wszystko. Może jeszcze zostaniesz bohaterką największej w dziejach sprawy o dyskryminację kobiet. Teraz go mamy. – Znów poklepał kamerę. – Przyniosę ci sławę.

Obrócił się i pogwizdując poszedł w stronę parkingu.

Scotty czuła się fatalnie. Nie chciała robić z tej głupiej awantury sprawy o dyskryminację.

– Hassledorf. – krzyknęła za nim. – Ja nie chcę być sławna.

Rozdział 4

Po powrocie do domu wyłączyła telefon, wzięła dwie aspiryny i poszła do łóżka. Nie mogła jednak zasnąć. Na wargach wciąż czuła natarczywość całujących ją ust Ouinna. To było straszne. Upokarzające. A jednak jakaś przewrotna część jej duszy aprobowała to. Czyżby zupełnie postradała zmysły? Czy była słabsza, niż sądziła rodzina?

Przez całe godziny przewracała się w łóżku, a potem nękały ją okropne sny. Nic dziwnego, że rano czuła się fatalnie. Nie włączyła telefonu ani radia. Nie rzuciła nawet okiem na gazety. Wolała nie wiedzieć, jak dalece rozeszła się wieść o incydencie w szatni. Była pewna tylko jednego: gdy wejdzie do pracy, powiedzą jej, żeby uprzątnęła biurko i poszła szukać sobie innej roboty.

Jechała przez Fayetteville, myśląc już z nostalgią o tym małym mieście i o czasie spędzonym w Kanale 50. Kochała to miejsce. Pulsowało przedziwną energią, jaką mają miasta, w których są college'e. Kochała je za dumę, humor, umiłowanie drużyn sportowych. Cóż – pomyślała ponuro, parkując auto – prawdopodobnie długo już nie pomieszkam w Fayetteville, i to za sprawą Jeda Quinna.

Gdy tylko weszła do budynku stacji, wyczuła, że coś jest nie tak. Ludzie w holu rzucali na nią ukradkowe spojrzenia.

– Ach, to ty! – Recepcjonistka Milly wskazała na Scotty polakierowanym paznokciem. – Nareszcie! Może sama zaczniesz odbierać telefony, panno Sensacja Dnia!

Zaraz pojawiła się na szczęście Bertie. Miała na sobie kostium w tak jaskrawym kolorze, że aż bolały oczy. Otoczyła Scotty ramieniem.

– Lepiej zamilcz – pogroziła Milly. – Zwolnią cię, jak tak dalej będziesz narzekać. Scotty nie jest niczemu winna. Chodź, Scotty. – Wprowadziła ją do biura działu produkcji i zamknęła drzwi. – Kawy? – zapytała, trochę za wesoło. – Chcesz herbatnika w czekoladzie? Suszoną figę?

– Dlaczego Milly jest taka zła? – zapytała Scotty, bojąc się odpowiedzi. – Co za telefony? Czy ludzie wiedzą, co zdarzyło się wczoraj wieczorem?

– O tak, wiedzą wszystko. – W piwnych oczach Bertie malowało się zakłopotanie.

Scotty z trudem przełknęła ślinę.

– Bertie, powiedz mi wprost: czy mają mnie wyrzucić?

Bertie zamrugała oczami i zaczęła grzebać w swojej szufladzie z jedzeniem. Wyciągnęła nadgniętego banana i zaczęła go obierać.

– Nie, kochanie. Ale z pewnością otworzyłaś puszkę Pandory.

– A więc nastąpił przeciek – jęknęła Scotty. Bertie znieruchomiała z bananem podniesionym do ust.

– Przeciek?! Skarbie, to jest burza. Nie wiesz, że jesteś we wszystkich gazetach? I że byłaś w dzienniku telewizyjnym wczoraj wieczorem?

– W dzienniku? U nas? Nie! Hassledorf nie zrobiłby mi tego! Nawet Wally Walltham nie zrobiłby mi czegoś takiego!

– Nie, nie w naszym dzienniku, ale we wszystkich pozostałych. Włączyłam wczoraj Kanał 37 i co widzę? Jesteś całowana tak namiętnie, że pończochy suwają ci się w górę i w dół jak żaluzje w oknach!

– Co? – pytała z niedowierzaniem Scotty, chwytając za oparcie krzesła.

– Oczywiście nie podano twego nazwiska – zapewniła pośpiesznie Bertie. – Ale za to w gazetach jest i nazwisko! Nie wiedziałaś? Och, przykro mi, Scotty. Ale nie martw się. Mycroft jest tym zachwycony.

– Mycroft? – w oczach Scotty pojawił się lęk. Mycroft, nowy dyrektor generalny, był człowiekiem zimnym, pełnym rezerwy i pracownicy od razu nadali mu przydomek Kobra. Mycroft nie zniżał się do kontaktów z szeregowymi pracownikami. Jego specjalnością było przejmowanie małych stacji borykających się z kłopotami, takich jak Kanał 50, i przekształcanie ich w wysoce opłacalne przedsięwzięcia. Balansował nierzadko na granicy uczciwości, ale wyniki miał rewelacyjne. Pracował w stacji od chwili, gdy kupił ją pan Poteau. Mycroft z kolei zatrudnił Wally'ego Wallthama.

– Mówisz, że Mycroft chce to jeszcze bardziej rozdmuchać? – wyszeptała Scotty.

– Kochanie – próbowała ją uspokoić Bertie – ty i Quinn to materiał w sam raz dla niego.

Głośnie pukanie do drzwi wyrwało ją z zakłopotania. Wally Walltham, nie czekając na zaproszenie, wsadził do środka swą siwiejącą głowę.

– Morgan – powiedział krótko, z błyskiem w oczach – masz zaraz być w sali konferencyjnej. Mycroft chce cię zobaczyć.

Weszła jak na ścięcie. Harvey Mycroft siedział u szczytu długiego, owalnego stołu. Był wysokim, szczupłym mężczyzną po czterdziestce, o surowej, dziobatej twarzy i żółtawych oczach, które śledziły ją zza grubych szkieł w ciemnej oprawie. Przewisko Kobra pasowało do niego jak ulał.

– Oto więc nasza bohaterska feministka – wysyczał. – Proszę usiąść, panno Morgan.

Scotty machinalnie wysunęła krzesło i usiadła. Mocno spłotła zlodowaciałe dłonie.

Wally Walltham siedział naprzeciwko. Wyglądał tak, jakby oceniał jej szanse.

– Zaczęła od wyszukiwania sensacyjnych wiadomości, teraz sama jest sensacją.
– Mycroft przyglądał się Scotty z namysłem. – Wykazała inicjatywę. Dobrze. Widziałas, co o tobie piszą, Morgan? – Podsunął teczkę, a Scotty mechanicznie ją otworzyła.

Wpatrywała się w zestaw wycinków prasowych i fotografii z gazet całego stanu. Serce zamarło jej w piersiach.

– Jak długo pracujesz w Kanale 50? – zapytał, studiując jej zaczerwienioną twarz. – Rok? Dwa lata?

– Dwa lata – odparła nerwowo, wciąż wpatrując się w fotografie. Dobry Boże, pomyślała, ja i Quinn wyglądamy, jakbyśmy pozowali do okładki jakiegoś romansu.

– Dwa lata w cieniu – zauważył Mycroft. – Dwa lata w najmniejszej i najmłodszej stacji na rynku. To wszystko się zmieni, moja droga. Ja to zmienię. Powiedz mi, Morgan, co jest sercem lokalnej telewizji, jej samym jądrem?

– Wiadomości są najistotniejsze.

– Słusznie – potwierdził. – A ja jestem tu po to, by Kanał 50 przekazywał najbardziej sensacyjne lokalne wiadomości. A ty masz mi pomóc. Już mi zresztą pomogłaś.

– Ja? – wydusiła z trudnością. Mycroft był śliski jak wąż i Scotty nagle poczuła się zagrożona.

– Ty – słodko potwierdził Mycroft. – Dałaś nam coś, co możemy wykorzystać, coś bulwersującego ludzi. Od rana dzwonią telefony. Jedni cię chwala, inni potępiają. Ty będziesz dziś wieczorem w czołówce naszego serwisu sportowego.

– Ja? Ale ja nie chcę, żeby o mnie mówiono – zaprotestowała. – Chcę pokazywać wydarzenia sportowe. Chodzi właśnie o to...

– Chodzi o to, by pozyskiwać widzów – poprawił ją Mycroft, mrugając znacząco. – Nie martw się, będziesz dalej zajmować się Wilkami i Quinnem. Daję ci promocję: w sobotę i niedzielę poprowadzisz wszystkie programy sportowe. Chcę, żebyś była bardziej widoczna. W jakim temacie się specjalizujesz?

– Zajmuję się... ściekami – wyznała z wahaniem.

– W takim razie dam ci lepsze zajęcie: choroby drobiu. Wylegarnie mają

problem z nowym wirusem. Może to nie brzmi zachęcająco, ale ten stan żyje z hodowli drobiu. Będziesz często na wizji.

– Ale... – Scotty nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Ona i awans? Ona w programie weekendowym? I koniec ze ściekami? I nadal ma się zajmować Wilkami? Ale jak to ma się udać, skoro Quinn nie dopuszcza jej do siebie?

– Przecież Quinn powiedział – próbowała zebrać myśli – że ja nie mam wstępu do St. Thomasa. I cały Kanał 50. Co pan na to?

– On nie może spełnić tej groźby – powiedział z pogardą Mycroft. – Już rozmawiałem telefonicznie z kierownikiem sekcji lekkoatletycznej w college’u. Objechałem go zdrowo i biedak trzęsie się ze strachu. Wally jedzie tam dziś po południu, żeby nagrać wypowiedź Quinna i, o ile zechce, jego przeprosiny.

– Wally? – zapytała Scotty, łapiąc się za oparcie krzesła. – Przecież dopiero co powiedział pan, że ja mam zajmować się Quinnem. Dlaczego więc on jedzie, a nie ja?

– Dlatego, Morgan, że trudno zachować obiektywizm, gdy robisz materiał, którego sama jesteś bohaterką. Poza tym Quinn nie rozmawia z tobą, więc musi to być Wally.

– Dzięki za materiał, Morgan – prychnął Wally. – To coś ekstra. Chyba zgarnę jakąś nagrodę.

Scotty nie mogła usiedzieć na krześle.

– Ale jeśli Quinn nie porozmawia ze mną, jak u diabła mogę zajmować się Wilkami? Jeśli nie zechce współpracować...

– Jeśli nie zechce współpracować, to sam wpada w moje sidła. Mamy jeszcze większą aferę: przykład dyskryminacji jasny jak słońce – westchnął Mycroft.

– Pozyskamy masy nowych widzów. Twoja kariera nabiera rozpędu, Morgan. Właśnie stałaś się nową bohaterką feministek. Podziękuj, że los dał ci taką szansę. Niewielu kobietom udało się dokonać czegoś w dziennikarstwie sportowym. Helena Schaffer – tak, prawda, ale kto poza nią? Ona też miała szczęśliwy przełom w karierze. Jak na ironię, również za sprawą Quinna. To rozsądna kobieta. Skorzystała z szansy. Teraz ty masz szansę.

Scotty zaschło w ustach. Wzmianka o Helenie Schaffer nie pomogła. Przecież to właśnie przez nią Jed źle traktował reporterki.

– Zaprezentujesz swoje stanowisko w rozmowie z Wallym – powiedział Mycroft. Przypatrywał się jej uważnie. – Przyszło mi właśnie do głowy, że powinniśmy zmienić twój wygląd na bardziej kobiecy. Weź wolne, zmień fryzurę, kup też sobie coś zamiast tego blezera. Chcę, żebyś przed kamerą była

stuprocentową kobietą. Dla większego kontrastu z Quinnem.

Scotty była skonsternowana. Mycroft mówił o niej, jakby była samochodowym wrakiem. Domem w rozsypce. A ona starała się wyglądać praktycznie i poważnie.

– Wiem, co myślisz, Morgan. Wykorzystujemy cię. Oczywiście, że tak. Tak samo ty będziesz wykorzystywać nas. Więc albo chwycisz okazję i zbudujesz własną karierę, albo przegapisz szansę i do końca życia będziesz się zajmować... czym?

– Ściekami – z uśmiechem podsunął Wally.

– Ściekami – złowieszczo powtórzył Mycroft.

Gdy opuszczała salę konferencyjną, czuła się nieswojo. W rękę ścisnęła czek na pięćset dolarów. Mycroft nazwał to „dodatkiem ubraniowym”. Dostała awans, przyzwoitą sumkę do ręki i wolne przedpołudnie na zakupy. Powinna być w siódmym niebie. Ale nie była.

Poszła do centrum i między innymi kupiła ciemnozieloną jedwabną bluzkę z dobranym pod kolor, kwiecistym, powiewnym krawatem. Potem poszła do fryzjera. Gdy układano jej kasztanowe włosy w wymyślne loki, zastanawiała się, dlaczego tak bardzo gnębiło ją poczucie samooszustwa. Może jednak Mycroft miał rację, próbowała się uspokoić. On wykorzystywał ją, a ona – całą sytuację. Musiałaby chyba nie mieć rozumu, żeby robić coś innego.

Wolałaby jednak nie mieć ciągle przed oczyma tego lodowatego spojrzenia Jeda. Pamiętała o jego ostrzeżeniu, że ta praca zrujnuje ją. Przysięgła sobie, że dowiedzie czegoś przeciwnego.

Umówiła się wcześniej na lunch z Bertie, więc prosto z salonu poszła do grill-baru. Bertie już na nią czekała.

– Spójrz na to z jasnej strony – pocieszyła ją.

– Wydałaś właśnie pięćset dolców na ciuchy. Masz świetną fryzurę. Dostałaś awans. Masz przed sobą wielką szansę. Czym tu się martwić?

– Bo ciągle myślę, że jest w tym coś złego. Nie ufam Mycroftowi. Wszystko wymknęło się spod kontroli: chciałam zajmować się dziennikarstwem, a tymczasem sprawa... seksu przesłania wszystko inne.

– Cóż, jeśli coś ma przesłaniać wszystko inne, to dlaczego nie seks? – zauważyła filozoficznie Bertie.

– Uwierz mi, skarbie, ten Quinn jest naprawdę seksownym facetem.

To jest właśnie problem, pomyślała Scotty. Sytuacja była i tak dość skomplikowana bez jej irracjonalnego zauroczenia Quinnem. Ale z tego nie

zwierzyłyby się nikomu, nawet Bertie.

Gdy wróciły do stacji, zastały recepcjonistkę uprzątającą z płaczem biurko.

– Zostałam wylana – Milly obrzuciła Scotty spojrzeniem pełnym nienawiści. – I to wszystko twoja wina. Twoja i tych głupich telefonów!

Scotty wybąkała jakieś przeprosiny.

– Chodź – szepnęła Bertie. – Węszę tu sensację. Razem przygwoździły Hassledorfa w montażowni.

– Co stało się z Milly? – zapytała Bertie dramatycznym tonem.

– Mycroft usłyszał, jak narzeka i powiedział jej, żeby się wynosiła. Dał jakby wszystkim ostrzeżenie: nie zadzierajcie z Potężnym Mycroftem.

– To moja wina – Scotty była przygnębiona.

– Te wszystkie telefony wyprowadziły Milly z równowagi.

– E tam – powątpiewał Hassledorf. – To nad nią wisało! A w ogóle, co zrobiłaś z włosami? Całkiem, całkiem. Następnym razem, jak wpakujesz się do szatni, to Quinn chyba zatrzyma cię przy sobie.

– Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Jak smakuje sława?

Zmusiła się do uśmiechu.

– Byłem w St. Thomas. Quinn nie może się opędzić od rozgniewanych kobiet. Pikietuje go jakaś grupa feministek. Chcą jego skóry.

– No nie – jęknęła Scotty.

– Są problemy, to mamy co pokazywać – Bertie wzruszyła ramionami. – Może Quinn nie będzie teraz takim wielkim panem.

O nie, Bertie nie ma racji, pomyślała Scotty. Quinn urodził się wielkim panem. Nie zmieni tego zgraja kobiet grożących mu kamieniami. Jej w każdym razie będzie teraz unikać jak ognia. A musiała przyznać, że to ją boli, i to bardzo.

Scotty spędziła upojne popołudnie na farmie drobiowej, potem pognęła z powrotem do stacji na rozmowę z Wallym i w końcu była szczęśliwa, że może zaszyć się w swoim małym domku.

Na dworze zrywał się wiatr, więc okryła się starym afganem, po czym zasiadła na kanapie przed telewizorem. Zamiast jedwabnej bluzki założyła spłowiały, czerwony podkoszulek Uniwersytetu Arkansas, wygodne dżinsy i mokasyny. Obok brzęczał grzejnik.

Obejrzała wiadomości, w których znalazł się jej materiał o wirusie atakującym drób. Musiała przyznać, że w nowym uczesaniu wygląda atrakcyjnie, ale trudno było zachwycać się sobą, gdy za tło służyła farma i sflaczałe kurczaki. Następnie

na ekranie pojawiła się pulchna twarz Wally'ego Wallthama. Pośpiesznie podał wyniki krajowych i lokalnych rozgrywek, by przejść do historii w szatni.

Z przerażeniem śledziła to, co zaszło między nią a Quinnem. Patrzyła na siebie, porwaną przez Jeda w ramiona, zaskoczona, struchlała. Mogło się jednak zdawać, że im bliżej końca, tym bardziej podobał jej się ten karzący pocałunek. Potem Jed bezceremonialnie wyrzucił ją za drzwi. Ten facet zasługuje na śmierć, na długie powolne konanie, pomyślała płonąć z gniewu.

Na ekranie ponownie zagościła rozpromieniona twarz Wally'ego. „Reakcje na terenie stanu były zróżnicowane. Do najgłośniejszych protestujących należała wojownicza grupa feministek pikietujących Benton Arena”. Pojawiła się grupa kobiet, trzymających transparenty z napisami: „Zwolnić Quinna!”, „Precz z męskim uciskiem!”, „Quinn musi odejść!”

Scotty znała twarze lulku kobiet z innych demonstracji. W stanie było wiele grup kobiecych; sama należała do dwóch. Tę tworzyły jednak ekstremistki, a Wally przeprowadził wywiad z najradykałniejszą z nich, Harriet Hoganforth.

– Występujemy w imieniu naszej siostry, Scotty Morgan – trajkotała Harriet. – Jed Quinn jest symbolem wszystkich ciemniących nas samców. Chcemy podać do publicznej wiadomości, że tworzymy fundusz pomocy prawnej dla Scotty Morgan. Chcemy, żeby Quinn stanął przed sądem pod zarzutami dyskryminacji, napaści, naruszenia nietykalności, usiłowania gwałtu i ograniczania wolności słowa. Chcemy jego głowy na palu. Szubienica to dla niego za mało.

Scotty jęknęła. Drań z tego Wally'ego. Czy musiał koniecznie rozmawiać z nawiedzonymi?

W programie nadeszła kolej na sondę uliczną, która zniesmaczyła ją jeszcze bardziej. Jakaś nastolatka z koronkami w zębach zaszczebiotała:

– Mnie Jed Quinn mógłby całować do woli. Jakiś staruszek gderał, że jeśli Scotty zachowywała się jak latawica, to ma, na co zasłużyła.

Kamera przeniosła się z kolei do biura Jeda Quinna. Siedział swobodnie za biurkiem, bez marynarki, z poluzowanym krawatem i podwiniętymi mankietami. Wyglądał imponująco: masywna szczęka, ciemne, kręcone włosy, zadziwiająco błękitne oczy. Zachowywał się tak uprzejmie, że trudno było uwierzyć w jego niechęć do kontaktów z dziennikarzami.

– Jakby pan trener skomentował ostatnie wydarzenia? – zaczął obłudnie Wally.

Jed uśmiechnął się do kamery. To spojrzenie zjednało mu zapewne sympatię rzesz kobiet przed telewizorami, pomyślała ze złością Scotty.

– Mówiąc prawdę, Wally, nie spodziewałem się kobiety w szatni. Moim

chłopcom też to się nie podobało.

– Czy zrobiłby pan to samo raz jeszcze? – sondował Wally.

– Powiem ci, Wally – odparł z zaskakującą szczerością. – Nie mogę pozwolić, by kobiety wchodziły do szatni. Trener żeńskiego zespołu miałby identyczne odczucia wobec mężczyzny.

– A to demonstracyjne całowanie?

– Pewnie można się było bez tego obejść. – Potarł brodę. – Wtedy myślałem, że rozładuję napięcie. Przykro mi, że niektórzy są odmiennego zdania. Po takim meczu krew szybciej krąży. Czujesz ochotę, żeby się trochę powyglupiać.

Trochę się powyglupiać, pomyślała Scotty z wściekłością. Quinn obraca wszystko w żart. Przygwoźdź go! – dopingowała Wally'ego w myślach. Niech się nie wykręca sianem!

– Kobiety zaciekle protestują przeciw pańskiemu traktowaniu Scotty Morgan. Co ma im pan do powiedzenia?

– Przykro mi, że poczuły się obrażone, ale wszystkim nam będzie łatwiej żyć na tym świecie, jeśli zachowamy poczucie humoru. Lubię kobiety i lubię swoją pracę. Chcę doprowadzić do tego, by fani Wilków byli dumni z gry swej drużyny. Jestem zwykłym trenerem, a nie specem od polityki seksualnej.

Quinn uśmiechnął się tak naturalnie, że Scotty chciała cisnąć czymś w ekran. Co za szczwany lis! Jak widzowie mogą nie czuć sympatii do takiego przystojnego, zrównoważonego, bezpośredniego człowieka? Nie odpowiedział jednak wprost na żadne z ostrzejszych pytań.

Następnie kamera pokazała wywiad ze Scotty. Była spięta i choć zachowywała się z zawodową pewnością siebie, to jednak brakowało jej rozbijającego uroku Quinna.

Wally przeszedł do rozmów z zawodnikami. Podstawił mikrofon pod roześmianą twarz Hobie'ego Granta i zapytał z uśmiechem:

– Co sądzisz o całej sprawie?

– Uważam, że jest wokół niej za dużo szumu. – Wzruszył ramionami Hobie. – Zdaje mi się, że tej pani podobało się, że została pocałowana. Quinn zrobił to naprawdę dobrze. Wszyscy mówią, że nasz trener będzie w przyszłym roku uczyć wychowania seksualnego.

– No cóż – powiedział z uśmiechem Wally, teraz już sam przed kamerą – zawodnik powiada, że pani była zadowolona, ona temu zaprzecza. – Zrobił przerwę i poinformował: – Oglądali państwo Sport Wieczorem z Wallym Wallthamem.

Scotty płonąła gniewem. Potrzebowała kogoś, kto by ją uspokoił. Włączyła

telefon, żeby zatelefonować do Bertie, ale zadzwonił, zanim zdążyła wykręcić numer. Ze złością podniosła słuchawkę.

– Kimkolwiek jesteś, czegokolwiek chcesz, dzwonisz pod zły numer.

– Mam dobry numer, ty zielonooka intrygantko – odezwał się Jed Quinn. – Chciałaś ze mną rozmawiać – powiedział głosem nie mającym w sobie nic z bez troski, którą okazywał w telewizji. – W porządku, malutka. Mamy okazję pogadać.

– Quinn, to naprawdę ty? – zapytała, a jej serce zaczęło tłuc się w piersiach jak mocno rzucona piłka do koszykówki.

– We własnej osobie – odburknął. – Spotkajmy się za piętnaście minut w pizzerii McCoya.

– Za piętnaście minut? – dygotały jej kolana.

– Mieszkam na drugim końcu miasta. Może za dwadzieścia pięć?

– Powiedziałem piętnaście – nakazał. – Przyjdź sama i nie uzbrojona. Żadnych mikrofonów, notatników ani magnetofonów.

– A co masz zamiar zrobić? Rozebrać mnie i przeszukać? – broniła się ironizując.

– Nie byłby to wcale zły pomysł – powiedział wyjątkowo przeciągle i sarkastycznie. – I wierz mi, kochanie, że jestem facetem, który zna się na tej robocie.

Rozdział 5

Pizzeria McCoya znajdowała się na północnych obrzeżach miasta, przy niesławnej 71 Autostradzie, jednej z najruchliwszych w kraju. Wystrój lokalu był dziwaczny – ściany przyozdabiały flaszki po bimbry, strzelby ładowane przez lufę, chomąta, widły i rozpięte skóry szopów. Zza baru spozierał wypchany warczący opos, wprost proszący o gruntowne wyczyszczenie.

Jed Quinn zajął miejsce z tyłu. Siedział z groźnie nachmurzoną twarzą, nogi wyciągnął w przejściu. Miał na sobie obcisłe, spłowiałe džinsy, znoszone buty kowbojskie i koszulę w niebiesko-czarną kratę, z rękawami podwiniętymi do łokci.

Scotty była nieomal zadowolona z faktu, że w pośpiechu nie zdążyła się przebrać. Quinn z pewnością nie przebierał się dla niej.

Gdy ją ujrzał, czujnie wyprostował się na krześle.

– Widzę, że się wyszykowałeś na tę okazję. Wyglądasz prześlicznie, ale nie jesteś tą samą cud-dziewczyną, którą widziałem w telewizji. Kto szyje ci te podkoszulki?

– Powinnaś być wiedzieć, że od początku będziesz nieznośny. – Scotty próbowała zachować spokój. – Gdy przyjdzie Boże Narodzenie, przypomnij mi, żebym ci podarowała egzemplarz książki „Jak zdobywać przyjaciół i oddziaływać na ludzi”.

Ściągnął ciemne brwi, a jego oczy myszkowały po jej włosach, odpiętej kurtce, spranym podkoszulku.

– Jestem bardzo zajęta. Powiedziałaś, że chcesz rozmawiać. Rozmawiajmy więc, proszę. – Zebrała się w sobie. Żeby jeszcze to serce przestało się miotać w klatce piersiowej jak zwierzę na uwięzi...

Wyciągnął cygaro z kieszeni koszuli i wsadził je między zęby. Zapalił zapałkę, pocierając ją o swój kciuk. Płomyk buchnął z diabelską gwałtownością.

Z niepokojem przyglądała się jego pociągającej twarzy. Jest za bardzo męski, oto mój problem. Zdumiona zauważyła, że za jego sprawą z jej ciałem dzieje się coś osobliwego.

– Ładne przedstawienie dałaś dziś wieczorem – powiedział, kiwając głową, jakby z aprobatą. – W tym programie Wally’ego Wallthama. Wyfasowana jak miss piękności. Mrugająca rzęsami, taka obolała, nieszczęśliwa i bezbronna jak Bambi, któremu zbójcy zabili matkę. O mało się nie rozplakałem.

– Ja grałam? – Zjeżyła się. – A ty? Gdybyś powdzieczył się jeszcze trochę,

można by cię ssać jak cukierek. Na miły Bóg, gdybyś znał jeszcze więcej zagrań pod publiczność, mógłbyś zostać prezydentem. Jak na kogoś, kto nie lubi dziennikarzy, całkiem nieźle ich wykorzystujesz.

Mocniej zagryzł cygaro i uniósł w górę jedną brew, tak że zmarszczka na czole pogłębiła się.

– Nie praw mi kazań, ślicznotko. Jesteś jedną wielką fikcją. Jeżeli jeszcze nie jesteś, to będziesz. Chcę, żebyś usunęła się z mego życia. Buduj swoją karierę na złamanym życiu kogoś innego, nie na moim.

– Nie buduję swojej kariery na twoim życiu.

– Posłuchaj – powiedział, wyjmując cygaro z ust i trzymając je pomiędzy kciukiem i środkowym palcem. – Nie chcę pracować z dziennikarką. Znam ten typ kobiet. Ładna twarzyczka i zupełnie nieładne ambicje. Chcesz być w telewizji. Zajmujesz się sportem, żeby kręcić się wokół mężczyzn. Liczysz na splendor, seks i pieniądze. A ja nie mam ani czasu, ani cierpliwości, żeby zadawać się z następną uwodzicielką z telewizji.

Do stolika podszedł kelner, wysoki, chudy chłopak w uniformie McCoya – spodniach i czapce z szopa.

– Dwa piwa? – zapytał dokładnie w chwili, gdy Scotty głośno chlasnęła w stół parą rękawiczek.

– Uwodzicielka? – prawie krzyczała. – Jak śmiesz! Nie przenoś na mnie swych chorych urojeń ty... ty hultaju!

Kelner odskoczył, jakby chcąc uchronić się od eksplozji. Jego grdyka drgała nerwowo.

Quinn uniósł szczupłą dłoń, by uciszyć jej wybuch. Uśmiechnął się kwaśno do kelnera.

– Dwa z beczki, proszę. Niech się pan nie przejmuje tą damą. Jest dziś nieco przemęczona.

Chłopak oddalił się w zajętych susach. Scotty wsparła się rękami o stół i pochyliła w stronę Quinna, piorunując go wzrokiem.

– Przemęczona? Najpierw mnie obrażasz, a potem mówisz, że jestem przemęczona? Wyjaśnijmy to sobie, Quinn. Uganiam się za sensacjami, nie za mężczyznami.

On także nachylił się nad stołem, zaciskając usta z wyrazem ponurej determinacji.

– Daj spokój, Morgan. Kobiety nie znajdują się na sporcie. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Chcesz po prostu być blisko facetów.

Odchylił się na krześle i pyknął z cygara. Kłęby błękitnego dymu nadawały mu diaboliczny wygląd. Scotty niecierpliwie rozpedziła ręką dym.

– Kobiety mogą zajmować się sportem. Tylko tacy fanatycy płci jak ty to uniemożliwiają!

– Nie mogą – poprawił ją, wypuszczając kłąb dymu. – Po pierwsze, nie wiesz, ile to kosztuje potu. Jesteś tylko kobietą, która lubi widok naprężonych mięśni. Kobieta nie rozumie sportu tak, jak rozumie go mężczyzna. A nawet, gdyby rozumiała, który mężczyzna chciałby jej słuchać? Kobiety mówiące o sporcie nie są wiarygodne. Mężczyźni chcą widzieć mężczyzn w tej roli, a nie jakieś podfruwajki, które mrugają rzęsami, myślą o szmince i głupotach.

– Jak słyszałam, Helena Schaffer radziła sobie zupełnie nieźle w Bostonie, ale ciebie to wkurza, prawda? To, że miała dość oleju w głowie, by cię rzucić. Nie próbuj mnie więc zastraszyć. Nie uda ci się to.

Złapał ją za nadgarstek tak mocno, że poczuła ból.

– Mam na myśli właśnie takie osoby jak Helena Schaffer. Wyrobiła sobie nazwisko, prawda. Kosztem innych ludzi. Ale nie pozwolę, żebyś ty robiła to moim kosztem.

Kelner przyniósł dwa kufle lodowatego piwa. Zauważył, z jaką wściekłością Scotty wpijała wzrok w Quinna i jak bezlitośnie on ścisnął jej nadgarstek.

– Mhmm. – Chrzęknął nerwowo. – Dwa razy pizza? Scotty była tak wzburzona, że nie zwróciła nawet uwagi na jego obecność.

– Quinn – wyrzuciła z siebie jednym tchem – nie spotkałam jeszcze człowieka tak nieuczciwego jak ty. Jesteś pierwszą osobą w moim życiu, którą szczerze znienawidziłam.

Jed spojrzał na kelnera i puścił rękę Scotty.

– Duże pepperoni – powiedział z łagodną wyrozumiałością i gorzkim uśmiechem, który zdawał się mówić: „Przykro mi, ale mamy do czynienia z kobietą. Wie pan, jak to jest”.

Kelner oddalił się, potakując ze zrozumieniem.

– Trzymaj się z dala ode mnie – ciągnął dalej. – Nie próbuj wciągać mnie do tego cyrku, który organizuje Kanał 50.

– Jakiego cyrku? – zapytała Scotty. Gorąco pragnęła, by wzrok Jeda nie ścigał jej z rozpędem ekspresowego pociągu towarowego.

– A co to jest? Amazonki z grupy feministycznej, i jeszcze ty jako główna atrakcja wiadomości sportowych wieczorem. Sam ci się podłożyłem, prawda? Przecież na to tylko czekałaś. Na incydent! – Potrząsnął z niesmakiem kędzierzawą

głową, ostatni raz pyknął z cygara i zgasił je w popielniczce.

– To nie było zaplanowane – zaprzeczyła Scotty. – To była jakby strategia wojenna: iść za kimś trop w trop. Ty zmusiłeś mnie, bym przekroczyła granicę. Ale nie o to tutaj chodzi. Chodzi o to, jak mnie wyrzuciłeś za drzwi. Upokorzyłeś mnie wobec pozostałych dziennikarzy, jakby kobieta nie zasługiwała na ludzkie traktowanie.

– Pocałunek był żartem, na litość boską. Chciałem tylko rozładować napięcie. Poza tym, nie miałaś nic przeciwko. Podobało ci się to.

Scotty odsunęła się od stolika i rozejrzała wokół, jakby chcąc wziąć kogoś na świadka tego zdumiewającego stwierdzenia.

– Podobało mi się? To bezwstydnie kłamstwo. Co miałam robić? Zacząć cię okładać pięściami? Wyjąć pistolet i zastrzelić cię?

Wzruszył barczystymi ramionami i uśmiechnął się do niej z irytującą pewnością siebie.

– Całowałem już dostatecznie dużo kobiet, by wiedzieć, czy im się to podoba, czy nie. Mnie też to się podobało. Masz usta, które chyba stworzono po to, by je całować. Może rzucisz pracę, pojedziemy gdzieś i zobaczę, czy reszta ciała dorównuje klasą ustom?

Scotty wzdrygnęła się. Quinn był przypadkiem beznadziejnym. Jeśli jej akurat nie atakował, to próbował uwodzić. Musiała cały czas mieć się na baczności. Odsunęła od siebie nietknięte piwo.

– Ta rozmowa prowadzi donikąd – powiedziała znużonym głosem.

– Mylisz się – odparł z naciskiem. – Zmierzamy wprost do celu. Powiedz swojemu Kanałowi 50, że nie chcesz już dłużej zajmować się Wilkami. Z powodów osobistych. To już nie jest kwestia męsko-damska. Z jakichś przyczyn wydobywamy z siebie to, co najgorsze, aż się iskrzy. Nie możemy pracować razem. Wróć więc do podawania przepisów na herbatniki domowej roboty, instrukcji wyszywania serwetek bądź czegokolwiek innego.

– Moja stacja chce, bym dalej zajmowała się tym tematem – powiedziała Scotty. Nie miała zamiaru cofać się przed napastliwym Quinnem. – Ja też chcę trzymać się tego, do czego mnie wyznaczono.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Zwilżył językiem dolną wargę.

– Ale ja ciebie nie chcę – odparł. – Przynajmniej w tej roli. To moje ostatnie słowo. – Wychylił kufel do dna.

– Trudno – rzuciła zdecydowanie. – Masz mnie na karku. To moje ostatnie słowo.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Zobaczymy. Mycroft jest jak trucizna. Jeśli tylko zdoła, zatruje mnie. Ciebie też, choć możesz tego nie zauważyć.

Wzruszyła ramionami, udając, że nie przejmuje się tym.

– Mycroft nie może mnie zmienić – mruknęła. Quinn zakręcił pustym kuflem. Uśmiechnął się ironicznie. – Już cię zmienił, zielonooka. Widziałaś swe nowe wcielenie na ekranie dziś wieczór? A poza tym słyszałem, że trafił ci się mały awansik.

– Skąd o tym wiesz? – Scotty znieruchomiała.

– Zapominasz – powiedział kpiąco – że twoi koledzy po fachu uwielbiają sensacje. I ich rozpowszechnianie.

Kelner przyniósł kolejne piwo. Jed podniósł je do ust.

– Za lepsze dni, Morgan – wzniosł kpiarski toast.

– Mycroft nie wykorzysta mnie. Ani ty. Kropka.

– Westchnęła i spojrzała na niego rozdrażniona. Odwzajemnił spojrzenie. Jej serce waliło jak młotem. Zanadto ją pociągał. – Daję ci jeszcze jedną szansę, ślicznotko. Wycofaj się. Zostaw to. Zanim będzie za późno.

– Nie – odparła twardo. Trener musi być mistrzem strategii i Quinn nim jest, pomyślała. – Czy wyraziłam się jasno?

– Jasno i niejasno zarazem. – Pokręcił głową. – Coś jest z tobą nie tak. Jeśli jesteś rzeczywiście tak delikatna, jak mi się zaczyna wydawać, to co robisz w tym fachu? Co tobą kieruje?

– Mną? – zapytała, czując, że bezbłędnie trafił w jej najskrytsze wątpliwości. – Jeśli zżera mnie ambicja, to szkoda czasu. Dobranoc i dzięki za okropny wieczór – powiedziała roztrzęsiona. Gdy próbowała wstać, złapał ją mocno za łokieć.

– Siadaj – nakazał stanowczo.

Włożył wystarczająco dużo energii w te słowa, by skłonić ją do pozostania przy stole.

– Zostań i pozwól mi podziwiać te wielkie zielone oczy.

– Co? – zapytała zdumiona. Nie trzymał już jej za rękę, ale wciąż czuła moc tego uścisku. Do czego teraz zmierzał?

– Zostań. Usiądź. Jedz. Baw się. – Zatoczył ręką szeroki krąg.

Kelner, wciąż przypatrując się im z lekkim przestraczeniem, postawił na stole parującą pizzę i szybko się oddalił.

– Proszę – powiedział Jed, zsuwając kawałek pizzy na jeden z talerzy – przyjmij to ode mnie jako znak pokoju.

– Quinn – zaczęła znużonym głosem – o co ci teraz chodzi? Mam już dość zgrywania się ze mnie. Chcę iść do domu. Nie chcę twojej pizzy ani czegokolwiek innego.

Wykonał jeszcze jeden szeroki gest.

– Mają tu świetną pizzę. Spróbuj! Włoskie jedzenie wywiera dobroczynny wpływ. Oczyszcza krew. Coś o tym wiem. Jestem półkrwi Włochem, po matce. Pokochasz moją matkę. Nie mogę się doczekać chwili, gdy ją poznasz. Och, ona też z pewnością cię pokocha.

– Quinn! – Patrzyła na niego osłupiała. Zastanawiała się, czy to ona traci zmysły, czy on je postradał.

– Jedz swoją pizzę. – Ugryzł kawałek. – Widzisz? Jest dobra. Posłuchaj, staram się być miły. Przecież tego właśnie chcesz. Więc jedz ze mną. Jaki jest twój znak zodiaku? A ulubiony kolor? Czy lubisz psy?

– Quinn!

– Mów mi Jed. – Poklepał ją po dłoni, potem uniósł ją i pocałował namiętnie. Spojrzał głęboko w oczy Scotty. – Zrobiłem wszystko, co było w mej mocy, by cię odegnąć, ale bez skutku. Mówiąc krótko, plan A nie zadziałał. Przeszedłem więc do planu B. To plan desperacki, ale dobry: współpracuję z tobą. Widzisz, jeśli nie walczę z tobą, to nie ma w ogóle sprawy i Mycroft nie może mnie wykorzystać. Ty także nie. Zostanę więc twym przyjacielem. Chyba cię kocham. Czy wyjdiesz za mnie? Czy będziesz mieć ze mną dzieci? Czy będziesz mi prać skarpetki?

Wyraźnie poruszona próbowała wyrwać rękę z uścisku. Pokręciła głową z niedowierzaniem. Jed ponownie ucałował jej dłoń.

– Mhmm – zamruczał. – Jak dobrze być przyjaciółmi.

– Jeśli na tym polega według ciebie przyjaźń – zauważyła cierpko – to musisz być chyba bardzo samotny. Czy chcesz powiedzieć, że pozwolisz mi kręcić materiały o Wilkach i nie będziesz mnie stawiać pod ścianą?

Posłał jej pocałunek zza stołu.

– Masz to. W pierwszym podejściu. Jesteś bystra. Podoba mi się to. Chodźmy gdzieś popieścić się.

Podejrzliwie zmarszczyła brwi.

– Chcesz współpracować tylko po to, żeby zrobić mi na złość?

– Nie powiedziałbym tego tak mocno, bo jesteśmy przyjaciółmi, ale taki jest generalny zamysł. To najlepsza linia obrony, jaka mi pozostała. Wiem co nieco o obronie, najśłodsza. Mogę przegrać bitwę, ale wygrywam wojnę. Chcesz wywiadu na wyłączność? Załatwione. Poproś mnie, o co chcesz. Zasyp mnie swoimi

pytaniami, zielonooka.

– Nie zależy mi na uprzywilejowanej pozycji – oświadczyła powściągliwie. – Chcę być po prostu traktowana tak, jak pozostali dziennikarze.

– Ach tak. – Dołożył sobie pizzy. – W takim razie, nie muszę być ci życzliwy. Pozostałym dziennikarzom utrudniam życie jak mogę. Nie znoszę kretynów.

– To twój kolejny problem. Nienawidzisz dziennikarzy i to widać.

– Nie mam nic przeciwko reporterom, jeśli robią to, co do nich należy – powiedział swobodnie. – Ale są przyzwyczajeni do wtykania nosa w nie swoje sprawy. Są jak sępy. Nieustannie krążą wokół, czekając, aż zdarzy się wypadek. Ty i twój drogi Kanał 50 robicie z idiotyzmów wielkie wydarzenia. Nie pozwolę na to. Jeśli nie mogę się ciebie pozbyć, to wyświadczę ci najgorszą przysługę będąc miły. I mam zamiar być miły aż do bólu.

Scotty zakręciło się w głowie, jakby przez całą noc piła szampana. Ostatecznie wzięła do ust kawałek pizzy, mając nadzieję, że jedzenie przywróci jej jasność umysłu.

– To nie ma sensu – wymamrotała.

– To ma głęboki sens. Jeśli te kobiety będą mnie jutro pikietować, wyjdę i ucałuję ich żołnierskie buty. Powtykam stokrotki w lufy ich strzelb. Powiem im, że jesteś moją ulubioną reporterką wszechczasów. Kocham cię bardziej, niż Superman kocha Lois Lane. Jesteś moją małą Słodką Patootie.

– Nie chcę być twoją Słodką Patootie – zezłościła się. – Chcę mieć możliwość wykonywania pracy.

– Za późno. Już postanowiłem, że jesteś moją Słodką Patootie, a należę do zdecydowanych. Gdzie spędzimy miodowy miesiąc? Czy lubisz polować i łowić ryby? Moglibyśmy pojechać w góry i bawić się w jaskiniowców. Założę się, że w śpiworze stanowilibyśmy mieszankę wybuchową. Ziemia by drżała.

– Widzisz? Nie potrafisz zachowywać się przyzwoicie. Napastujesz mnie seksualnie, zdajesz sobie z tego sprawę? Jesteś wciąż tak samo nieznośny.

– Zachowuję się tak przyzwoicie jak umiem – odparł pojednawczo. – Musi ci to wystarczyć. I przestań czepiać się seksu. Cały czas tylko o tym mówisz – seks, seks, seks. Nie napastuję cię. Właściwie oddaję cześć ziemi, po której stąpasz. Co w tym złego?

– Mam nadzieję, że choć raz w życiu będziesz poważny. Jeśli nie zechcesz współpracować, to nie obchodzi mnie, że Mycroft zrobi z ciebie Potwora Stulecia. Zasłużysz sobie na to.

– Uwielbiam cię, gdy się złościś.

Miała tego dość. Quinn próbował doprowadzić ją do szału. Wzięła rękawiczki i wstała. Trzęsły jej się ręce. Miała nadzieję, że on tego nie widzi.

Natychmiast zerwał się z miejsca.

– Tak szybko? – W jego głosie brzmiała fałszywa troska. – Tak wiele musimy się o sobie dowiedzieć. Czy jesteś rannym ptaszkiem, czy nocnym markiem? Czy umiesz robić *fettucine*? – Dość tych gier, Quinn – zareagowała gwałtownie, próbując zrównoważyć wpływ jego bliskości.

– Tak – powiedział. – Gier. Życie jest grą, kochanie, w której stawką są nasze skolatanne serca. Ale jeśli musisz iść, pozwól, że odprowadzę cię do auta.

– Nie trzeba – zaprotestowała. Żałowała, że jest taki wysoki i muskularny. Wolałaby, żeby był niski, łysy i okryty brodawkami jak ropucha, żeby nie mówił, a kwakał jak kaczka, żeby miał oczy koloru błota.

– Nalegam.

Czuła jego ciepły oddech. Ogarnął ją szerokim, mocnym ramieniem. Próbowwała nie zważać na niego, idąc w stronę drzwi, ale trudno było nie zwracać uwagi na dwumetrowego mężczyznę, którego błękitne oczy sprawiały, że jej serce ulatywało wysoko, pod obłoki.

– Widzisz? – szepnął. – Jestem miły. Zaprosiłem cię do tej sympatycznej knajpki, gdzie mają pyszną pizzę, i nawet oposa. – Wskazał na wypchane straszdyło przy barze. – Odprowadzam cię do auta, czegoż więcej mogłabyś chcieć?

– Tabletki na ból żołądka, bo przyprawiasz mnie o mdłości – docięła mu Scotty.

Przyciągnął ją mocniej do siebie, aż poczuła twardość jego ciała. Pogłaskał ją po rękawiczce.

– No, no, nie bądź złośliwa – powiedział miękko. – Jesteśmy przyjaciółmi, nie pamiętasz? Kumplami.

Wyszli na zewnątrz. Zrobiło się zimniej, mgła zgęstniała. Wszystko otulała aksamitna, wilgotna ciemność. Była to jedna z tych cichych zimowych nocy, które wywołują złudzenie, że oprócz nas nie ma innych ludzi na świecie.

– Śliczny samochód – pochwalił jej poobijanego, przeżartego rdzą ramblera, który powinien raczej znajdować się na wysypisku.

– Puść moje ramię. Muszę otworzyć drzwi.

– Jeszcze chwilę. – Zatrzymał ją, kładąc dłonie na jej ramionach. – Pocałowałem cię raz i wpadłaś w szal. Daj mi jeszcze jedną szansę.

Po jej ciele przebiegł dreszcz, nie wywołany wcale przez zimno. Chciała szybko znaleźć jakąś ciętą ripostę, ale w jego na wpół widocznej twarzy było coś,

co ją powstrzymało.

– W żadnym razie – powiedziała cienkim głosem. Quinn jakby tego nie słyszał. Szybko odnalazł jej usta. W jego ruchach była nieoczekiwana czułość, ale także paląca nagłość. Rozchyliła usta i poczuła, jak koniuszek jego języka smakuje najpierw jej górną, potem dolną wargę, aż wreszcie sięga coraz głębiej I głębiej...

To cudowne uczucie, pomyślała irracjonalnie... Jest taki męski, daje mi coś, czego byłam zawsze spragniona. Rozkoszowała się dotykiem jego dłoni na ramionach, dotykiem jego twarzy, smakiem, zapachem, naporem jego umięśnionego ciała. Chciała, żeby całował ją bez końca. On jednak odsunął się.

– Widzisz – powiedział nonszalancko – naprawdę to lubisz. Zachwyciłoby cię to, co przygotowałem na bis.

Uderzył ją kpiący ton głosu Quinna. Ze złością pomyślała, że stało się to, czego chciała od chwili, gdy weszła do restauracji i zobaczyła, że na nią czeka. Odepchnęła go gniewnie i sięgnęła po kluczyki. Otworzyła drzwi na oścież.

– Scotty – wyszeptał.

Usłyszawszy, że zwraca się do niej po imieniu, poczuła, jak sztywnieje jej kark i uginają się kolana. Zapragnęła uciec stamtąd jak najprędzej.

– Scotty – powtórzył, a w jego głosie odezwał się jakiś nowy, nieznany ton, którego nie odważyła się na razie określić. Ze złości łzy napłynęły jej do oczu i kiedy wyciągnął rękę, by dotknąć jej ramienia, uskoczyła, jakby bała się, że ją oparzy.

Wsiadła do samochodu i zatrzasnęła drzwi, zadowolona, że wreszcie się od niego wyzwoli. Zauważyła jednak, że nie może się wyzwolić od myśli o nim.

Rozdział 6

Ani Harvey Mycroft, ani Wally Walltham nie byli zadowoleni, że Jed Quinn zadeklarował warunkowy pokój ze Scotty. Pierwszy zmusił się jedynie do kwaśnego uśmiechu, drugi natomiast w ogóle przestał się do niej odzywać.

Jed wprowadził swój plan w życie, zmieniając front z oszałamiającą szybkością. W dzień po spotkaniu u McCoya wydał krótkie oświadczenie przepaszające dziennikarzy. Scotty wiedziała, że jest nieszczerze. Robił dokładnie to, co obiecał: zabijał ją udawaną uprzejmością.

Co gorsza, nie mogła się uwolnić od myśli o nim. Widziała jego drwiące, błękitne oczy, ciemnobrązowe, kręcone włosy, zarys barczystych ramion. Pamiętała również – aż nadto wyraźnie – smak natarczywych ust i żelazny uścisk ramion. Pociągająca była nie tylko moc kipiącego życiem ciała, ale i przymioty duchowe Jeda: inteligencja, zgryźliwy dowcip, zuchwalstwo. Podziwiała jego pewność siebie, zupełne przeciwieństwo jej nieśmiałości.

Weź się w garść, pomyślała z rozpaczą. To tylko mężczyzna. Nawet niezbyt miły. Właściwie okropny. Była jednak przeświadczona, że na swój specyficzny sposób jest wspaniały.

Jej humor lekko się poprawił po debiucie w programie weekendowym. Wypadła dobrze. Przyznali to wszyscy w stacji, oprócz Wally'ego Wallthama, który wyraźnie sposepniał.

Tego dnia wieczorem Wilki grały z St. Elmo i Scotty miała przeprowadzić przed meczem wywiad z Jedem. Wzdragająca się na myśl o tym. Na pewno coś uknuje, tylko co? – myślała z niepokojem. Wiedziała wszystko zaraz po wejściu do jego biura.

Siedział na obrotowym krześle, z nogami skrzyżowanymi na biurku. Ręce splótł nonszalancko z tyłu głowy.

– Cześć, ślicznotko – powitał ją ironicznym uśmiechem. – Tęskniłem za tobą. Śnię o tobie co noc. Czy ty śnisz o mnie?

A więc będzie dalej ciągnął tę parodię flirtu! – pomyślała. Hassledorf zaśmiał się i przestał na moment rozstawiać sprzęt.

– Przyszłam tu, żeby rozmawiać o koszykówce, a nie o snach – odparowała. Oczy ich spotkały się i poczuła nieprzyjemny wstrząs, jakby dotknęła nie izolowanego przewodu.

– Szkoda. – Uśmiechnął się. Wyglądał jak kocur, oblizujący się po spustoszeniu

sklepu z kanarkami.

– Podoba mi się twoja bluzka – powiedział, lubieżnie przesuwając wzrok po jej ciele. – Złoto nadaje blasku twoim włosom, a oczy wydają się wtedy bardziej zielone. Jakie masz śliczne małe uszka...

– Żeby cię lepiej słyszeć – odcięła się. – Możemy zaczynać. Czy masz zamiar trzymać nogi na biurku?

– A chciałybyś? – zapytał przyjaźnie. – Zrobię wszystko, czego sobie życzysz. Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Jesteś przecież moją Słodką Patoocie.

– Jeśli chcesz, stań nawet na głowie – mruknęła.

– Nie obchodzi mnie, co ludzie o tobie pomyślą.

– Mnie też nie – zapewnił. – Ważne jest dla mnie jedynie, co ty myślisz, mój aniołeczku. Czy mam zdjąć nogi ze stołu?

– Tak – syknęła. – Chyba że chcesz wyjść na ekranie na hardego, zarozumiałego kowboja.

– Lepiej? – Opuścił nogi, usiadł wygodnie na krześle. Wolałaby, żeby nie miał tak szerokich ramion. Wolałaby, żeby zapiął górny guzik swej białej koszuli i poprawił krawat. Widok mocno owłosionej piersi Jeda, wyłaniającej się spod rozchylonego kołnierzyka, rozpraszał jej uwagę.

– Kręcimy – powiedziała krótko do Hassledorfa. Gdy tylko kamera zaczęła pracować, wyraz twarzy Jeda zmienił się. Był skupiony, twarz promieniowała uczciwością. Trudno było mu nie ufać, gdy patrzył w kamerę Hassledorfa z taką miną, z jaką skauci oddają honory łopoczącej na wietrze fladze amerykańskiej.

Scotty cicho jęknęła i zaczęła go zasypywać pytaniami. Twardymi pytaniami. Prześwietliła jego strategię w obronie i w ataku, rzutów z pewnych i słabych pozycji, przejść i klinów.

Quinn, przyciśnięty do muru, odpowiadał na wszystko gładko, ale w kąciku jego ust pojawił się znajomy, rozwścieczający ją uśmieszek. Traktował ją z taką wyższością, jakby była uczennicą siódmej klasy, która przeprowadza dla szkolnej gazetki wywiad z pobłażliwym rodzicem.

– Dzięki, trenerze. Trzymam kciuki dziś wieczorem – powiedziała w końcu. Hassledorf przestał kręcić.

Quinn natychmiast zerwał się na nogi i stanął przy boku Scotty. Otoczył ją ramieniem. Próbowana wyrwać się z uścisku, ale na próżno.

– Moja gwiazdeczko, cukiereczku – szczebiotał.

– Znakomite pytania. Kto ci je napisał? To nie Wally Walltham, jest na to za tępy. Kto odrabia z tobą prace domowe? Jestem o niego zazdrosny.

– Nikt – odpowiedziała stanowczo. – Sama układam pytania. I nie podoba mi się ton, jakim mi odpowiadałeś. Jeżeli na tym ma polegać nasza współpraca...

– Ach – udawał współczucie – o co ci chodzi? W końcu udało jej się wyrwać ramię.

– Nie chodzi o to, co powiedziałeś, ale jak to powiedziałeś. Ten przymilny ton, i jednocześnie harde spojrzenie. Traktowałeś mnie jak dziecko! I nie udawaj, że flirtujesz ze mną, gdy nie jesteśmy na wizji. Nie pozwolę na to.

– Hm. – Hassledorf przerwał jej chrząknięciem.

– Robi się późno, Scotty i...

– Kto udaje? – ciągnął Quinn, ignorując obecność kamerzysty. – Żadne prawo nie zabrania mówić kobiecie, że jest atrakcyjna. Cóż poradzę na to, że gdy jestem przy tobie, serce mięknie mi jak wosk. Czy twoje serce też mięknie jak wosk?

– Nie – odparła Scotty, chociaż tak właśnie było.

– Czy chcesz zjeść dziś ze mną kolację? – ciągnął. – I jutro, i pojutrze, i popojutrze i...

– Chciałabym zobaczyć, że stać cię na powagę – powiedziała stanowczym tonem.

– Jestem poważny. – Położył dłoń na sercu. – Kocham cię, nie pamiętasz? Uwielbiam cię do tego stopnia, że całowałbym twe palce u stóp. Każdy paluszek. Twoje słodkie kolanka. Twoje cudowne...

– Wystarczy już – przerwała mu wystraszona.

– Nie wiem, dlaczego cię kocham. – W zamyśleniu przeciągnął ręką po ciemnych kędziarach. – To wcale nie jest zabawne.

– To zachowanie kiedyś przysporzy ci kłopotów. Założę się, że St. Elmo sprawi dziś wieczorem, że pospadają ci buty z tych przerośniętych stóp. Szykuj się na klęskę, Quinn.

– Nieee – odparł, krzyżując ramiona i potrząsając głową. W jego oczach była zuchwałość i rozbawienie.

– Prywatnie, między nami przyjaciółmi, powiem ci: pobijemy St. Elmo. O jakieś cztery punkty.

Zaśmiała się, zdumiona jego butą.

– St. Elmo to najsilniejszy zespół. Tytuł mają prawie w kieszeni. Na twoim miejscu nie byłabym taka pewna siebie.

Podniósł brwi, potem wzruszył ramionami. – W zupełnym zaufaniu powiem ci, że oni nie zdobędą mistrzostwa. My je zdobędziemy.

– Wy? Wilki? – Pokręciła głową. – Chyba śnisz. Nigdy. Możecie zyskać nieco

więcej, niż ludzie się spodziewali, ale nie pobijecie St. Elmo.

– Poczekaj, ja ci pokażę, jak to się robi – odparł zuchwale.

– Zarozumialec – mruknęła i skierowała się w stronę drzwi. Hassledorf podążył za nią, z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

– Hej – zawołał za nią Jed – chcesz iść ze mną na lunch? Proszę. Dziś i jutro, i pojutrze...

Była tak zła i rozżalona, że nie odezwała się słowem, dopóki wraz z kamerzystą nie znaleźli się na zewnątrz.

– Wiesz, może to zabrzmiało idiotycznie, ale myślę, że on cię właściwie lubi. – Hassledorf był zakłopotany.

Scotty spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Lubi mnie? Z pewnością nie okazuje tego w normalny sposób.

– To nie jest zwyczajny facet.

– Jest aroganckim potworem – powiedziała ponuro. – I jeśli wygra dzisiejszy mecz, to zjem swoją portmonetkę.

Hassledorf miał purpurową twarz i dyszał jak lokomotywa, gdy tego wieczoru w Benton Arena zabrzmiał sygnał kończący mecz.

– Zjesz portmonetkę na surowo czy zapiekaną w cieście?

Scotty jeszcze nie w pełni ochłonęła z euforii po meczu.

– Z arsenikiem – odpowiedziała, kręcąc głową z niedowierzaniem. Jeszcze raz spojrzała na tablicę świetlną. Zespół Wilków pokonał St. Elmo różnicą dokładnie czterech punktów. Wcześniej uzyskali prowadzenie i utrzymywali je nieomal przez cały mecz. Było to niewiarygodne. Jak on to mógł przewidzieć? Szósty zmysł?

Ogarnęła spojrzeniem boisko, spoconych, triumfujących zawodników, którzy poklepywali się po plecach i głośno „przybijali piątki”. Quinn zauważył Scotty i pozdrowił ją wesoło. Proszę – zdawał się mówić swoim zachowaniem. Tak to się robi.

W chwilę później górował nad tłumkiem dziennikarzy, którzy otoczyli go przed wejściem do szatni. Scotty pozostała z tyłu. W odróżnieniu od Hassledorfa nie miała zapалу do przeciskania się na przód tej gromady.

– Panie trenerze! – dał się jeden z reporterów.

– Panie Quinn!

– Czy zespół może utrzymać taką formę?

– Musiał pan posadzić na ławce Hobie’ego Granta. Czy to nie wpłynie źle na zespół?

– Wstydzę się za was, panowie – powiedział Quinn z figlarnym błyskiem w oku. – Biedna mała panna Morgan została zepchnięta na sam tył. Czy tak powinno się traktować słabszą płęć? Zróbcie przejście, przepuście ją tutaj. Panie pierwsze. – Odsunął na bok Duffa Freely’ego z Kanału 37, jakby był pionkiem szachowym. – Chodź, skarbie – skinął na Scotty – najpierw twoje pytania.

Duff Freely łypnął na nią spode łba, ale Scotty pozostała na miejscu. Jed będzie mnie faworyzował, pomyślała, a koledzy znienawidzą. W dawaniu forów jest ukryta zemsta. Może nie dawać mu satysfakcji i nie pytać o nic? – pomyślała. Przeważało poczucie dziennikarskiego obowiązku.

– Moje gratulacje. Ten wynik zaskoczył wszystkich. – Jej głos wibrował gniewem. – Ale dlaczego posłał pan na ławkę Hobie’ego Granta? To pana najlepszy zawodnik, kibice kochają go. Czy są między wami jakieś konflikty?

Ich spojrzenia skrzyżowały się.

– Hobie to dobry zawodnik. Ale czasami nerwy go ponoszą, a ja muszę ochłodzić jego temperament – odparł Quinn już bez pobłażliwego tonu.

– Po co go uspokajać, gdy zdobywa punkty? – nalegała. – Kibicom nie podobało się to, że usunął go pan z boiska.

– Usunąłem go, bo to nie jest Show Hobie’ego Granta. Ma być częścią zespołu, a nie jednoosobowym zespołem. Wyjaśnimy sprawy z Hobie’em. Niech cię nie boli o to twoja piękna główka.

Poczuła się dotknięta. Wzięła głębszy oddech i zacisnęła w dłoni mikrofon, czując na sobie rozbawione spojrzenia kolegów.

– Mam nadzieję, że zdołacie sobie wszystko wyjaśnić. – Zdobyła się na spokój. – Hobie odegra zasadniczą rolę w następnych meczach. Dzisiejsze zwycięstwo jest jego zasługą. Jak ma pan zamiar utrzymać go w ryzach?

– To jest sprawa między nami dwoma. To, co dzieje się na boisku, jest sprawą publiczną. Ale treningi należą do sfery prywatności. Hobie jest tylko jednym z zawodników tej drużyny. Pozostali chłopcy wykazali wielką wolę walki. Nie skupiamy się na jednej osobie. Wiem, że dziennikarze uwielbiają kreować gwiazdy... i uwielbiają je niszczyć. – Gwałtownie odwrócił wzrok od Scotty. Uciał sprawę i spojrzał zimno na pozostałych reporterów.

Scotty wydała zduszony jęk, który przeszedł nie zauważony. Miała święte prawo zapytać o Hobie’ego Granta. Wiedziała, że kibiców interesuje odpowiedź na to pytanie. Postawiła je pierwsza, zaś Jed wykorzystał to, by ominąć niewygodną dla siebie kwestię. Scotty wiedziała, że Grant może być dla Wilków albo błogosławieństwem, albo przekleństwem. Poruszał się jak baletmistrz, strzelał jak

karabin, ale lubił się zgrywać i był za bardzo pobudliwy. Jed z jakichś powodów nie chciał jednak, by skupiano na tym chłopcu uwagę.

Po upływie około dziesięciu minut uznał, że czas dla mediów został wyczerpany.

– Panno Morgan – zawołał ponad głowami reporterów i Scotty zlekła się, że znów zostanie wywołana do tablicy. – Przykro mi, że na ciebie napadłem, aniołku. Chcesz pójść gdzieś na drinka?

Zobaczyła, że Duff Freely mierzy ją niechętnym wzrokiem, a pozostali dziennikarze studiują jej reakcje z chłodnym, naukowym zainteresowaniem.

– Dziękuję, nie piję – odparła najuprzejmiej jak umiała.

– Jaka miła z ciebie dziewczyna, panno Morgan – powiedział miękko, choć chłodnym tonem. – Obyś zawsze pozostała tak słodka.

Odwróciła się i odeszła, wlokąc za sobą swoją godność jak postrzępiony płaszcz, który nie chroni już przed chłodem.

– Wielkie nieba – powiedział sunący za nią Hassledorf. – Za każdym razem, gdy wy dwoje jesteście razem, w powietrzu fruwa tyle iskier, że chyba powinienem nosić ubranie z azbestu.

– Iskier – powtórzyła bezwiednie, ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Iskry nie sprawiają, że stajesz się dobrym dziennikarzem. Możesz najwyżej zapalić się od nich. I płonąć.

– Iskrzyło się, dosłownie iskrzyło między wami wczoraj wieczorem. – Dziobata twarz Mycrofta wprost promieniowała zadowoleniem. – Świetnie.

Świetnie.

Scotty nie mogła usiedzieć na krześle. Mycroft kołysał się lekko w hipnotyzującym rytmie, który w widoczny sposób wyjaśniał, dlaczego przezwano go Kobrą.

– Proszę pana – powiedziała niepewnie – ja nie chcę, żeby między nami iskrzyło się. Chcę tylko...

– Kto wywołał tę awanturę, moja droga? – uciszył ją machnięciem ręki. – On, prawda? Napięcie między wami jest widoczne. To mi się podoba, bardzo podoba.

– Mnie nie. – Starła się, by jej głos brzmiał stanowczo. – Nie podoba mi się to, że toczymy wojnę. Quinn mnie wyróżnia, daje do zrozumienia, że mnie faworyzuje. To jest... poniżające.

– Już ci mówiłem, Scotty, że nie ma w tym twojej winy – oświadczył Mycroft z cichą satysfakcją. – Nie możesz czuć się upokorzona. Ludzie będą oglądać nasz

program, żeby dowiedzieć się, co zaszło między wami. Konflikt! To przyciąga odbiorców. Gdziekolwiek ja się pojawię, muszą się rodzić konflikty.

Spojrzała na niego bojaźliwie, pamiętając o ostrzeżeniu Jeda: Mycroft sprzeda twoją duszę, zanim zdążysz zaprotestować.

– Spokojnie, moja droga. – Mycroft, jakby czytając w jej myślach, chciał rozwiązać wszystkie wątpliwości. – Byłbym głupcem, gdybym nie skorzystał z takiej sposobności. Odnosi się to i do ciebie. Zresztą sędzę, że wiesz, skąd się bierze niechęć Quinna do dziennikarek sportowych. Miał romansik z Heleną Schaffer, a ona nie jest kobietą, o której się szybko zapomina. I ty masz teraz płacić za jej – jakby to nazwać – spektakularny sukces. Czy to jest uczciwe?

Wpatrywała się w niego z rozchylonymi ustami. Dlaczego, gdy pada nazwisko Heleny Schaffer, coś kłuje ją w sercu?

Mycroft ma rację, pomyślała z rezygnacją. Za jakie grzechy ona ma płacić za coś, co zdarzyło się między Jedem a tą kobietą na drugim końcu kontynentu?

– Myślę, że nie zrezygnujesz z zajmowania się Quinnem – powiedział Mycroft przymilnie, widząc, że Scotty siedzi jak na szpilkach. – Chyba nie jesteś z tych, co się poddają.

– Nie jestem – zapewniła, mimowolnie przygryzając dolną wargę. Zastanawiała się, dlaczego bezbłędnie logiczne argumenty Mycrofta brzmiały złowrogo.

Bertie nie było. Wybrała się na poszukiwanie właściciela pary mrówkojadów. Twierdził, że mrówkojady są strachliwe, a lęk przed kamerą odbierze im apetyt na wiele dni. Próbowowała go namówić, żeby jednak pokazał zwierzęta w jej programie..

Scotty zrezygnowała z lunchu. Wstąpiła na filiżankę kawy do sklepu na rynku. Przypadkiem spotkała tam Carruthersa, kierownika działu sportowego w jednej z lokalnych rozgłośni radiowych. Zaproponował, by się przysiadła do niego.

Chętnie skorzystała z zaproszenia. Fred był jednym z niewielu sympatycznych facetów, zajmujących się sportem. Obsługiwał radiowe relacje ze wszystkich meczów Szarych Wilków. Był mniej więcej w wieku Hassledorfa i jego kompanem od pokera.

– Nieźle wyglądasz jak na damę, która odważyła się wejść do jaskini lwa – drażnił się ze Scotty.

– Proszę, nie wspominaj o tej sprawie – powiedziała błagalnie, potrząsając głową ze smutkiem.

Fred roześmiał się. Był najchudszy człowiekiem, jakiego Scotty kiedykolwiek widziała. Zdawało się, że składa się z samych kości i piegów. Zawsze zdumiewało

ją, że z tego mizernego ciała wydobywa się taki głęboki, chrapliwy głos.

– Szkoda, że skaczecie sobie z Quinnem do oczu. To równy gość.

– Z tym twierdzeniem będę się musiała nie zgodzić.

– Naprawdę – nie ustępował. – Po prostu nie przepada za dziennikarzami. I ma swoje racje. Nie ma powodu, żeby traktować dzieciaki z college'ów, jakby były gwiazdami ekranu. To śmieszne. Pozwólmy im grać w koszykówkę i zostawmy w spokoju.

– Masz na myśli Hobie'ego Granta? – zapytała Scotty. Wiedziała, że Fred Carruthers mówi to, co myśli. Szczerzość była jedną z rzeczy, za które go lubiła.

– Powiedzmy, że Hobie Grant jest dobrym przykładem. Zdolny dzieciak. Gdyby nie problemy z dyscypliną, grałby w większej szkole. Nagłośnienie tego przez media to ostatnia rzecz, jakiej mu potrzeba do szczęścia.

– Wstydz się, Fred. Sam jesteś dziennikarzem. Powinieneś być po naszej stronie – dogryzła mu.

– I jestem – odpowiedział łagodnie. – Od dawna robię w tym fachu. Dziennikarze mogą oddawać wielkie przysługi, ale także wyrządzać szkody.

– Tak chyba uważa Quinn – mruknęła. – Szkoda tylko, że akurat ja mam być potwierdzeniem tej tezy.

Fred nachylił się i poklepał ją po ramieniu.

– To nie twoja wina, że jesteś małą ślicznotką. On nie dowierza małym ślicznotkom z mikrofonem w ręku.

– Wiem – westchnęła. – Helena Schaffer, tak?

– Tak – zgodził się Fred. – Teraz każda zyskująca na popularności stacja posyła do Quinna kobietę. Nie ma znaczenia, czy zna się na sporcie, czy nie. Nie winię ani jego, ani ciebie za to, że jesteście zawzięci. Ty potrafisz pokazywać sport. Widziałem cię na ekranie. Ale oboje z Quinnem jesteście w patowej sytuacji. Szkoda.

Na kilka chwil zapanowała cisza.

– Scotty – zaczął nagle Fred, ale przerwał, jakby zastanawiając się, czy ma kontynuować.

– Co?

– Nie powinienem tego mówić, ale jednak powiem. Uważaj na Mycrofta, dobrze?

Nie wiedziała, jak zareagować.

– Za miła z ciebie dziewczyna, żeby z nim trzymać. Quinn to wie. Myślę, że właśnie dlatego tak ostro cię traktuje.

Scotty uśmiechnęła się niepewnie.

– Dzięki za radę, Fred. Miło, że się o mnie troszczysz.

– Mówię szczerze – zapewnił ją. – Lubię cię, ale jakoś nie wydaje mi się, żebyś odnalazła właściwą drogę.

– Och, Fred – powiedziała wzdychając. – Chyba nie powiesz mi teraz, że kobiety mają trzymać się z dala od sportu?

– Nie, nie, Scotty. Przełom już się dokonał. Mam tylko poczucie, że ciebie stać na dokonanie innego przełomu.

Pokręciła głową, nie mając zielonego pojęcia, do czego on zmierza.

– Czy to przeczucie dotyczy mojego postępowania z Ouinnem?

– Tak. Tego właśnie. Słyszałem, że zmienił strategię wobec ciebie. Chce cię teraz zamęczyć uprzejmością.

– Jaka jest twoja rada?

– Scotty, żaden facet nie może się uganiać za dziewczyną, która mu nie ucieka.

– Znacząco poruszył krzaczastymi brwiami.

Patrzyła na niego w osłupieniu. Czy Fred sugerował jej, żeby obróciła przeciw Jedowi jego własną broń?

– Nie potrafiłabym... nie mogłabym... nigdy bym – jąkała się.

– A gdybyś jednak zrobiła to? – kusił Fred.

– Nigdy! – powiedziała stanowczo. Fred tylko się uśmiechnął.

Rozdział 7

Jed Quinn był niemożliwy. Scotty myślała czasem o rezygnacji z obsługi meczów Szarych Wilków, ale gdy przypominała sobie swoją rodzinę, była zdecydowana wytrwać.

A jednak przepełniały ją wątpliwości. Zaczynała uświadamiać sobie, że właściwie wcale nie przepada za telewizją. Kochała sport, ale relacje telewizyjne uważała za zbyt szybkie i zbyt powierzchowne. Może bardziej odpowiadałoby mi radio? – zastanawiała się. Wiedziała jedno: uwielbia oglądać mecze Wilków. Jed Quinn doprowadził zespół do najbardziej nieprawdopodobnego pasma sukcesów, jakiego była kiedykolwiek świadkiem. Zwycięstwa Wilków uznano za cud porównywalny z obaleniem Goliata przez Dawida.

Scotty stała się, jak wszyscy wokół, gorącą zwolenniczką Wilków i jeszcze gorętszą – do czego przyznawała się z żalem – sprawcy ich sukcesów. Wysokiego, błękitnookiego kowboja, Jedediaha S. Quinna.

Mycroft miał rację. Iskrzyło się między nimi. Jed był przy Scotty żywy jak rtęć i swawolny, na przemian dokuczliwy, pobłażliwy, nonszalancki, obłudnie przyjazny, nieznośnie flirtujący i nieprzenikniony jak kamień. Po dwóch szczególnie ostrych starciach przysłał jej do telewizji wielkie bukiety róż z przepraszającymi liścikami, które ocierały się o błazeństwo. Raz nawet bukiet orchidei, a raz pęk balonów w kształcie serc. Kiedy indziej człowiek przebrany za goryla wręczył jej ogromne pudło cukierków i wyrecytował grafomański wiersz miłosny. Wally Walltham wpadł wtedy w furję.

– Morgan, czy nie możesz jakoś pohamować tego wariata Quinna? To jest miejsce pracy, a nie zoo! – wykrzyczał.

Mycroft był natomiast zachwycony.

– Dobrała się do niego, naprawdę dobrała. Wkrótce Quinn posunie się za daleko. Musimy cierpliwie czekać.

Sytuacja stawała się nie do zniesienia. Scotty, mimo że bardzo kochała Fayetteville, zaczęła się rozglądać za zajęciem gdzie indziej. W chwili czystej rozpaczycy złożyła podanie do jednej ze stacji radiowych pana Poteau w Connecticut. Była pewna, że nie dostanie tej pracy, ale chwilowo przyniosło jej to ulgę. Szybko zapomniała o całej sprawie. Jej myśli krążyły cały czas wokół Jeda Quinna, mimo że to on był sprawcą wszystkich kłopotów.

Podskórne napięcie między nią a Quinnem nie miało nic wspólnego z

wiadomościami sportowymi, ale jak na złość widzów to pochłaniało. Scotty buntowała się. Chciała być sprawozdawcą sportowym, a nie pionkiem w walce między płciami. Zwłaszcza że Jed był zbyt wytrawnym przeciwnikiem. Nie chciała także być przynętą Mycrofta w jego zręcznej kampanii o pozyskanie rzesz nowych widzów.

Kanał 50 szybko zdobywał popularność mimo kontrowersji dotyczących programów. Pieniądze płynęły szerokim strumieniem.

Quinn wiedział o wszystkim i, gdy kamera tego nie widziała, drażnił Scotty bezlitośnie. Albo podważał wiarygodność Kanału 50, albo doprowadzał ją do białej gorączki tysiącami błahych komplementów. Mówił, że jest słodka jak miód, i równie lepka. Mówił, że jest piękna jak trzmiel nad polem kwitnącej rzepy. Mówił, że jest wdzięczniejsza niż opos na drzewie magnolii. Mówił, że śni o niej co noc i budzi się nad ranem w morzu pierza – tak mocno tuli poduszkę, że w końcu pęka.

Złościł ją tak bardzo, że nie mogła spać, z rozdrażnienia straciła nawet apetyt. Uważała za pewne, że nabawiła się przez niego wrzodów. Bo skąd by brało się to śmieszne łaskotanie w żołądku, ilekroć o nim myślała?

Podczas szarpiącego nerwy meczu z drużyną Faradine University uświadomiła sobie, jak bardzo jest przez niego omotana. To przyszło w chwili najwyższego napięcia, gdy tłum ryczał jak tysiącgłowa oszalała bestia. Quinn wykonał tyle śmiałych i błyskotliwych posunięć, że Scotty wpatrywała się w niego osłupiałymi oczyma. Patrzyła, jak podbiega do linii bocznej i gorączkowo wykrzykuje wskazówki. Mimo hałasu, mimo zamętu, widziała tylko Jeda. Wtedy zrozumiała, że go kocha, że on jest tym jedynym. Czują, że jej pole widzenia zawęziło się. Obejmuje jedynie jego wysoką postać i pełną wyrazu twarz. Zrobiło się jej ciepło koło serca. Quinn był nie tylko najlepszym trenerem, jakiego widziała, ale i najbardziej intrygującym człowiekiem, jakiego spotkała.

Nie może sobie pozwolić na takie uczucia. Nie wolno jej! Jak może szanować człowieka, który jej wcale nie szanuje? Jak może marzyć o człowieku, który marzy tylko o tym, by ją wymazać ze swego życia?!

Nie, powiedziała sobie twardo. Nie może być w nim zakochana. A jednak od tego meczu spała jeszcze mniej regularnie. Już zupełnie nie miała apetytu. Bertie radziła jej, żeby ukryła obwódki pod oczami, bo zaczyna wyglądać jak szop.

Przeklinała Jeda za to, jak na nią działał. Przeklinała Helenę Schaff er za niechciany spadek gorzycy. Przeklinała siebie i swoje niepohamowane uczucia. Następnie zaczynała przeklinać naturę. To natura dała Jedowi takie lodowate oczy w kolorze błękitu, obdarzyła go takim wzrostem, takimi kręconymi włosami, taką

inteligencją, zaskakującym poczuciem humoru. Natura nie grała fair.

Scotty żałowała, że nie ma żadnych szans na pracę w Connecticut. Chciała uciec nie tylko od Jeda i Mycrofta, ale także od kłębiących się w niej uczuć. Connecticut wydawało się bezpieczną przystanią, równie odległą jak Syberia.

– Przecież dobrze się sprawdzasz w pracy – pocieszała ją Bertie.

Zrobiły sobie przerwę na kawę w zagraconym biurze. Bertie miała na głowie czapkę ze skóry szopa. „Czapkę do myślenia”, jak ją nazywała. Pracowała akurat nad jakąś skomplikowaną grafiką.

– On wywołuje we mnie takie napięcie, że czuję się jak robot, gdy jestem z nim przed kamerą – powiedziała Scotty płaczliwie.

Piwnie oczy Bertie lustrowały ją z powagą.

– Kochanie, nie chciałabym być wścibska, ale czy ty się w nim przypadkiem nie zakochałaś?

– Oczywiście, że nie – skłamała Scotty.

– W takim razie nie dawaj mu się. Ostatnio robisz wrażenie osoby nieszczęśliwej. To z powodu pracy? Czy może Mycrofta?

– Bertie, zaczęłam myśleć, że telewizja nie jest miejscem dla mnie. Może powinnam się przenieść do radia. Co o tym sądzisz?

– Do radia? – W głosie starszej kobiety słychać było przerażenie. Jak większość ludzi pracujących w telewizji, Bertie uważała radio za ubogiego krewnego w rodzinie mediów. – Masz, oczywiście, radiowy głos, ale także świetną twarz. Kto ją dostrzeże w radiu? Co jest złego w telewizji?

– Nie wiem, ale jakie znaczenie ma tu twarz? – zastanawiała się Scotty. – Co twarz ma wspólnego z pracą reportera? Poza tym najbardziej lubię, i to robiłam kiedyś dla dziadka, szczegółową relację z przebiegu meczu. Może jestem szalona?

Bertie pokręciła głową, ale wyglądało na to, że szuka okrzężnej drogi, by powiedzieć: „Tak, Scotty, jesteś szalona”. W zamyśleniu pogładziła szopi ogon przy czapce.

– Niewiele kobiet robi bezpośrednie transmisje z męskich sportów w radiu i gdzie indziej. Nie jesteś szalona, ale chyba... Quinn zagrał ci na nerwach, to wszystko. Czy jesteś pewna, że on cię nie pociąga? Hassledorf mówi, że facet ciągle cię podrywa. Mój Boże, gdybym była trzydzieści lat młodsza, z pewnością uległabym jego namowom. Sama bym za nim pognała w te góry.

Słowa Bertie wprawiły Scotty w wyraźne zakłopotanie.

– Poważnie – zapewniała Bertie. – Gdyby się tylko ze mną umówił, powiedziałabym: „Bierz mnie, boskie zwierzę, jestem twoja!”

– Bzdura. – Uśmiechnęła się Scotty. – Nie zrobiłabyś tego.

– Ty mówisz bzdury. – Bertie zachnęła się. – Zrobiłabym to dla samej przyjemności. Potem by uciekł. Wycofałby się szybko, wierz mi.

Scotty spojrzała na nią z podziwem. Może Mycroft posłał do Jeda niewłaściwą kobietę. Gdyby Bertie nie mogła poskromić Jeda w żaden inny sposób, napuściłaby na niego strusia.

– Za bardzo bierzesz sobie to wszystko do serca. – Pokiwała głową Bertie. – Wkładasz w pracę wszystkie siły. Nigdy nie umawiasz się z żadnym chłopakiem. Jesteś młoda, powinnaś mieć coś z życia.

– Mężczyźni, którzy chcą się ze mną umawiać, jakoś nigdy mnie nie interesują – tłumaczyła się Scotty.

– Tego bym nie powiedziała. – Bertie mrugnęła do niej. – Jest jeden, całkiem interesujący, który wprost się za tobą ugania.

Scotty uśmiechnęła się z wysiłkiem, wiedząc, że nigdy nie będzie mogła przyjąć żadnego z podejrzanych zaproszeń Jeda. Ale nie mogła powstrzymać się od myśli, że może Bertie ma rację. Gdyby raz jeden powiedziała „tak” Jedowi, czy dotrzymałby swoich obietnic?

Jak co miesiąc, zadzwonili rodzice Scotty z Kansas. Ojciec zawsze rozmawiał z kuchni, a matka z aparatu, który był w sypialni. Jak zwykle, była to nie tyle rozmowa, ile mieszanka przesłuchania i połajanek.

– Bruno był w zeszłym tygodniu w Arkansas!

– krzychał ojciec, któremu zdawało się, że nie można rozmawiać przez telefon, nie podnosząc głosu.

Brat Scotty, Bruno, był jedynym członkiem rodziny, który nie został trenerem czegoś tam. Prowadził za to firmę produkującą artykuły sportowe i oczywiście, jak przystało na Morgana, powodziło mu się znakomicie.

– Mówił, że jakiś trener nie daje ci spokoju – kontynuował. – Quinn. Jed Quinn. Czy to przypadkiem nie ten Quinn, który grał w Bostonie?

Scotty wyjaśniła, że ten sam.

– W takim razie nie pozwól mu sobą pomiatać!

– krzychał dalej ojciec. – Bruno powiada, że telewidzowie uwielbiają twoje programy, bo Quinn robi wszystko, żeby cię skonfundować. Nie pozwól mu na to.

– George, nie krzycz – włączyła się matka. – Dziecko ma wiele problemów, ale nie jest głuche.

– Nie daję sobie w kaszę dmuchać, tato – powiedziała Scotty, mając nadzieję,

że to prawda.

– Scotty, kochanie – zaczęła matka – czy ta praca nie jest dla ciebie za trudna? Przecież brak ci bojowego ducha.

– Mildred, pomyśl jak bardzo Gamp czułby się zawiedziony, gdyby usłyszał, że Scotty poddała się przy pierwszych trudnościach – wtrącił się ojciec.

– To prawda – przyznała matka. – Ale Gamp miał zawsze wielkie wyobrażenie o niej. Cóż, Scotty, jeśli jesteś przekonana, że to praca dla ciebie, to nie pozwól, żeby ten człowiek cię onieśmiał. Zawsze łatwo było cię onieśmielić.

– Płać mu pięknym za nadobne – dołączył się ojciec. – A tak w ogóle, to o co mu chodzi?

Scotty zapewniała, że panuje nad sytuacją. W końcu otwarcie wyjaśniła, na czym polega taktyka Jeda.

– Ha! – zakrzyknął ojciec. – Obróć taktykę Ouinna przeciw niemu samemu. Weź wszystko na serio. To wyrówna rachunek. Zawsze powtarzam, że najlepszą obroną jest atak.

– Och, George, Scotty nigdy nie zdobyłaby się na coś takiego – zaprotestowała matka. – Wiesz, że zawsze była wrażliwa jak lilia.

– Kiedyś musi przestać być lilią! – wrzasnął ojciec. Scotty wirowało w głowie. Zastanawiała się, jak będąc dzieckiem takich postrzeleńców, mogła zdobyć się na własne „ja”.

Gdy się wreszcie pożegnali, Scotty była lekko zmaltretowana. Nie śmiała wspomnieć o pomysłach przeniesienia się do radia. Jej ojciec dostałby napadu szału, a matka powiedziałaby: „A nie mówiłam, George”. Pomyśleliby, że zawsze się poddaje i nie umie wytrwać ani w telewizji, ani gdzie indziej. Nie przyszło im nawet do głowy, że stać ją na to, żeby wziąć na serio parodię zalotów w wykonaniu Jeda. Może Bertie ma rację mówiąc, że biorę wszystko zbyt poważnie. Powinnam pokazać temu błękitnookiemu kpiarzowi z Blarney Stone, że stać mnie na równie swobodne zachowanie. Albo nawet swobodniejsze.

Był luty i sezon koszykarski na szczęście dobiegał końca. Wszystkie pozostałe mecze miały kluczowe znaczenie. Scotty nie otrzymała żadnej odpowiedzi na podanie złożone w stacji w Connecticut i postanowiła zostawić to w spokoju. Przysięgła sobie, że gdy Jed po raz kolejny wysunie swoje szalone zaproszenie, posłucha rady wszystkich i przyjmie je.

Na razie kończyła kolejny irytujący wywiad w jego biurze. Mimo że kłopoty z niesfornym nowicjuszem Hobie'em Grantem wyraźnie się nasilały, Jed omijał ten

temat.

Grant grał wspaniale, ale coraz bardziej błaznował. Kibice nadal go kochali, bo był dobrym graczem i miał charyzmę. Scotty zaczynała się jednak poważnie niepokoić o chłopca.

Quinn rozparł się na krześle, krawat miał jak zwykle przekrzywiony, a dłonie splecione za głową. Patrzył na jej bladozielony sweter ze szczerym podziwem.

– W zielonym podobasz mi się najbardziej – mówił tonem niebezpiecznie ocierającym się o poządliwość.

– Twe oczy nabierają wtedy koloru najszlachetniejszego jadeitu. Może pozwoliłabyś się wyciągnąć na obiad, a potem na tańce. Oczywiście wolne. Bardzo wolne. Trzymałbym cię w ramionach do brzasku. Szeptałbym ci czułe słówka do uszka.

Scotty zwijała właśnie sznur od mikrofonu. Rzuciła mu krótkie spojrzenie.

– Dobrze. Umówmy się, że zabierzesz mnie o siódmej.

Hassledorf spojrzał na nią zdumiony, potem uśmiechnął się. Quinn widocznie zbladł.

– Co? – zapytał, nie kryjąc osłupienia. – Powiedziałam, żebyś zabrał mnie o siódmej.

Uwielbiam wolne tańce. – Starła się, by jej głos brzmiał twardo i nonszalancko. – Zawsze twierdzisz, że nie prześladujesz mnie, że jesteś najzupełniej szczerzy, gdy zasypujesz mnie tymi głupimi komplementami i proponujesz wspólne wieczory. Więc w końcu mówię ci „zgoda”. Możesz mnie zabrać o siódmej.

– Ty psotnico – powiedział z wyraźnym rozbawieniem w oczach. – Mówisz poważnie?

– Oczywiście, że tak. – Pragnęła gorąco, by jej serce przestało się szarpać jak silnik na chwilę przed zgaśnięciem.

– Bo widzisz... – przerwał i przeczesał ręką włosy.

– Nie możemy nigdzie pójść dziś wieczorem. Hoduję u siebie trochę krów i dzisiaj mają dostarczyć mi byka. Musimy to przenieść na inny termin.

Ha, pomyślała, Bertie miała rację: podwija ogon i zmyka. Jak dobrze, że nigdy nie brała tej paplaniny na serio. Hassledorf milczał, ale bacznie się przyglądał.

– Nie, to niekonieczne – powiedziała przymilnie, zadowolona, że teraz dla odmiany ona wytrąci go z równowagi. – Możemy zjeść u ciebie. Tylko my dwoje. Mała, intymna kolacyjka.

– Mała, intymna kolacyjka... – Zmierzył ją wzrokiem.

O Boże, pomyślała, a jeśli Bertie się myliła? Nie wyglądał teraz na człowieka, który się wycofuje.

– W porządku, ślicznotko. – Złowieszco uniósł brew, a na jego policzku pojawił się dołek. – Postaram się, żeby było jak najintymniej. Ale nie sądzę, żebyś się pojawiła. Myślę, że blefujesz.

Scotty odwzajemniła uśmiech. Posunęła się za daleko, żeby się wycofać.

– Nie blefuję.

– Myślę, że się boisz – dodał. Wyciągnął przed siebie ręce, splótł palce i przeciągnął się. Czysta męskość tego ruchu sprawiła, że krew w niej zagrała.

– Nie boję się – odparła z podniesionym czołem.

– O tak, boisz się, i powinnaś się bać. Robię najniebezpieczniejsze na świecie lasagna. A jest to znany afrodyzjak.

Gdy parę minut później Scotty i Hassledorf siedzieli w służbowym samochodzie, kamerzysta roześmiał się.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś, Scotty. Szkoda, że tego nie sfilmowałem. Jesteś pewna, że sobie z nim poradzisz?

– No pewnie – odparła pogodnie. – Psy, które szczekają, nie gryzą.

W głębi duszy nie była tego pewna. Jed nie zachował się tak, jak tego oczekiwała. Miała przeczucie, że może być kolejną małą dziewczynką z Kansas, która wkroczy do zamku Oz.

Gdy jej stary rambler zatrzymał się z szarpnięciem na podjeździe do domu Jeda, była zupełnie rozdygotana. Jed stał na trawniku, czesząc smukłego konia.

Gdy wysiadała z auta, dziwny brązowo-biały pies z łatą na białym oku spojrzał na nią łaskawie i wybiegł na powitanie. Machnął ogonem dokładnie raz, jakby przywiązywał dużą wagę do powściągnięcia emocji.

Przez krótką chwilę Scotty żałowała, że nie została w domu i nie spędziła wieczoru schowana pod łóżkiem. Postanowiła jednak, że Jed nie może już dłużej spychać jej do defensywy. Będzie chłodna, uprzejma, stanowcza i opanowana.

– Ho ho, to Dzielny Moe – powiedziała i poklepała psa po głowie, drapiąc go na dokładkę za uchem.

– Cześć – pozdrowił ją Jed. – Postanowiłem czyścić Doktora J. na dworze, żeby nie przegapić twego przyjazdu. Chcesz przejść się z nami do stajni?

– Doktor J. ? Dałeś koniowi imię Juliusa Irvinga? – Scotty roześmiała się.

– Jasne. Irving jest czarodziejem koszykówki, a ten koń jest równie dobry w zapładnianiu klaczy. Zasluguje na doktorat z tej dziedziny.

Scotty podążyła za Jedem do stajni.

– Czy wychowałeś się na ranczu? – zapytała, nastawiając się na wieczór układowej konwersacji.

– Jasne, że tak. Chodziłem do wiejskiej szkoły, tak więc z koszykówką zetknąłem się dopiero w college’u. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Czy wierzysz w taką miłość?

– Nie wtedy, gdy chodzi o sprawy bardziej złożone niż koszykówka.

– A ja wierzę. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie miłość od pierwszego wejrzenia. Ojciec był młodym irlandzkim dzikusiem z duszą farmera. Mama – delikatną panią ze szkoły przyklasztornej. Chciała zostać zakonnica. Tata zobaczył ją, gdy wsiadała do autobusu w Tulsa i wskoczył tuż za nią. Zanim dojechali do jej przystanku, już się pokochali. To się zdarza. Jestem tego żywym przykładem.

Spojrzała na niego niepewnie. Tylko zachowaj spokój, nakazywała sobie, gdy wchodzili do stajni.

Quinn wprowadził Doktora J. do jego przegrody i podsypał mu siana. W stajni unosił się ciepły, ostry koński zapach, który Scotty zawsze kochała, nawet jako dziecko, gdy przyprawiał ją o atak nieprzerwanego kichania. Z wahaniem pogłodziła konia po ciepłym, aksamitnym pysku. Czowała na sobie baczny wzrok Jeda.

– Podoba mi się twój koń. Jest łagodniejszy niż wygląda.

– Co za zbieg okoliczności. To tak jak ja. Czy jeździsz konno?

– Nigdy się nie nauczyłam – przyznała. – A bardzo chciałam. Rodzice mi nie pozwalali. Byłam raczej delikatnym dzieckiem.

– Wciąż taka jesteś. – Teraz, dla odmiany, wyglądał poważnie.

– Ależ skąd – zaprotestowała. – Czuję się świetnie, naprawdę.

– Tak czy inaczej, jesteś wciąż delikatna – zawyrokował. Wsadził dłonie w kieszenie dzinsów. Mimo zimna nie miał na sobie kurtki. – Pamiętaj – odezwał się po chwili – że kiedy przychodzisz do mnie na kolację, masz dwie rzeczy do wyboru: kuchnię włoską lub kuchnię włoską. Właśnie dlatego Mo jest przysadzisty. Je za dużo spaghetti. Ma specjalną słabość do spumoni.

– Wygląda raczej dziwnie. – Scotty obejrzała się za psem, gdy szli w stronę domu. – Jest taki... poważny. Czy pomaga ci paść konie?

– Mo? – Roześmiał się. – Mo nie pomaga w żadnej pracy. To typ myśliciela. Wziąłem go z Bostonu, bo kuleliśmy na te same nogi. Też miał wypadek samochodowy. Chcieli go uśpić. Zatrzymałem go ze względu na jego filozoficzny

spokój. Wciąż mam nadzieję, że coś z tego przejdzie na mnie.

– A nie przeszło? – zapytała, mimowolnie uśmiechając się do niego.

– Filozoficzny spokój zakłada trzymanie namiętności pod kontrolą. Pracuję nad tym. Myślę, że mogę do czegoś dojść w wieku stu dziesięciu lat. Albo i to nie.

Gdy weszli do domu, Quinn pomógł jej zdjąć płaszcz, a sam zdjął kapelusz i mistrzowskim rzutem umieścił go na haku w holu. Miał na sobie dzinsy i jasnobłękitną koszulę z granatowymi strzałami naszytymi na kieszeniach. Wyglądał przystojnie jak nigdy.

– Wciąż nie jestem pewien, dlaczego tu jesteś. – Pokręcił głową. – Ale od samego początku niełatwo było cię rozgryźć. A bardzo wyraźnie pamiętam moment, gdy cię po raz pierwszy ujrzałem.

Scotty nie dostrzegła na jego twarzy znajomego drwiącego wyrazu i serce podskoczyło jej w piersiach.

– To było wtedy, gdy po raz pierwszy rozmawiałem o posadzie trenera w St. Thomas. Włączyłem telewizor w pokoju hotelowym i trafiłem na ciebie, z tymi wielkimi, zielonymi oczami i twarzą jak kwiat. Pomyślałem: niech tylko ta kobieta nie zajmuje się sportem. Od początku wiedziałem, że nie będę chciał mieć z tobą do czynienia. Z każdym, ale nie z tobą.

– Dlaczego?

– Bo żaden mądry człowiek nie popełnia dwa razy tego samego błędu – odpowiedział gburowato, ale z dziwnym zakłopotaniem.

Odgarnął dłonią z jej twarzy kosmyk kasztanowych włosów. Jego palce zatrzymały się na chwilę na miękkiej, bladej skórze policzka.

– Gdybyś była po prostu kobietą, gdybym zobaczył cię wsiadającą do autobusu, w Tulsa czy gdzie indziej, kto wie? Ale zobaczyłem cię w dzienniku telewizyjnym. I to w kanale, którego szefem jest Mycroft. Szkoda, prawda?

– Naprawdę szkoda? – Scotty z trudem łąpała oddech, choć wiedziała, że on . tylko się z nią drażni.

Pogładził delikatnie jej brwi.

– Oczywiście na jedną noc moglibyśmy zapomnieć, kim jesteśmy i że należymy do przeciwnych obozów. Moglibyśmy porzucić rolę trenera i reporterki, zachowywać się po prostu jak mężczyzna i kobieta. Może nawet przekonałbym cię, że obrałaś zły zawód. Co o tym sądzisz?

Na jedną noc. Jedną noc. W jej głowie zadźwięczały dzwonki alarmowe. Pewnie, zależało mu tylko na tym. Nie. Nie będzie nagrodą w kolejnej wygranej grze. Nie zrobi z siebie pośmiewiska.

– Sądzę – powiedziała, starając się nie dostrzegać zaskakującej łagodności w jego oczach – że powinniśmy wrócić do hasła lasagna. Nie pakujmy się w jeszcze większe kłopoty.

Cofnął rękę i patrzył badawczo w jej oczy, w których malował się lęk. Zrobił krok w tył i uśmiechnął się cynicznie.

– Może masz rację. Więc lasagna... Tylko pamiętaj: ostrzegałem cię, że to danie rozbudza namiętności.

– Nie obawiam się – rzuciła chłodno. Ale czuła się jak ktoś, kto cudem uniknął upadku w przepaść. Czy naprawdę po to przyszła tu dziś wieczorem? Z głupiej, przemożnej chęci bycia z nim choćby przez chwilę nie jako wojownicza dziennikarka, lecz jako kobieta?

Uśmiechnął się i wziął ją za rękę.

– Chodź, zielonooka. Wyjdźmy z przedpokoju, bo tu cię nie nakarmię. Stawiam jeden warunek: żadnych dziennikarskich sztuczek. Zastanawiam się tylko, czy bez tego będziemy umieli rozmawiać. Tak czy inaczej, zawsze uważałem, że słowa się przecenia. Jestem raczej człowiekiem czynu.

Miły Boże, pomyślała, jak to przyjemnie, gdy trzyma mnie za rękę. Wszędzie na świecie byłabym bezpieczna, tylko nie tu...

Rozdział 8

Była zdziwiona, że tak gładko toczy się ich rozmowa przy świecach. Musiała ze śmiechem przyznać, że lasagna są światowej klasy, że jego sałatka smakuje jak ambrozja, a czosnkowego chleba z serem pozazdrościłby mu każdy kucharz i każdy smakosz.

Wyznał, że po pójściu do college'u nie tyle tęsknił za domem, ile za domową kuchnią. Któregoś weekendu pojechał do domu, by odebrać specjalny zestaw „pierwszej pomocy” przygotowany przez matkę. Była w nim książka kucharska, stos kartek z jej sekretnymi przepisami, garnki, rondle i duży słoć marynowanych grzybów. Ta paczka, jak powiedział, uratowała mu życie. Opowiedział jej o młodości spędzonej na ranczu, o tornado, które w pewien mroczny, wiosenny dzień nieomal ich zdmuchnęło. O siostrze Deannie, która cały czas rozpaczała, że jest za wysoka, by ktokolwiek zechciał się z nią umówić, a teraz jest małżonką niskiego, uwielbiającego ją prezesa banku w Tulsa. Opisał przygody, jakie miał ze swym uprzykrzonym młodszym bratem, Michaeliem, teraz misjonarzem w jednej z najniebezpieczniejszych dzielnic Chicago.

Ona z kolei zwierzyła mu się z dziecięcych problemów z astmą i alergiami, niemożnością dorównania usportowanej rodzinie. Najwięcej opowiadała o Gampie. O tym, jak kiedyś uważała go za człowieka srogiego i dalekiego, jak z czasem wytworzyła się między nimi osobliwa więź i jak była jego oczami przez całe lata.

Zaskoczyło ją, że mówiła o tym wszystkim z taką łatwością. Przez chwile obawiała się, że może to działanie czerwonego wina, które sączyła, ale zrozumiała, że chyba po raz pierwszy ktoś jej słuchał z takim zainteresowaniem.

O przeszłości rozmawiali bez przeszkód, ale Jed uciekał od jakichkolwiek tematów związanych z terażniejszością. Zręcznie unikał mówienia o pracy w St. Thomas, o Szarych Wilkach, a zwłaszcza o kapryśnym Hobie'em Grancie. Gdy spytała o niego, pokręcił głową.

– Przykro mi, ale nie potrafię zapomnieć, że jesteś dziennikarką. Pomówmy lepiej o tobie. Wiesz, wydaje mi się, że nie najlepiej się czujesz w roli reportera. Wylądowałaś w tej pracy przypadkowo, w poszukiwaniu aprobaty rodziny. To groźna sytuacja, Scotty.

– Groźna? Dlaczego?

– Bo starasz się zdobyć ich miłość. Tymczasem, jeśli oni nie potrafią cię kochać

taką, jaką jesteś, to ich problem, nie twój. Nie możesz układać swego życia według ich oczekiwań. Możesz być inna od nich, co wcale nie znaczy, że mniej wartościowa. Co byś chciała robić, gdybyś nie była w telewizji? Tak w najskrytszych marzeniach?

– Nie znam się na niczym, prócz tego, co robię – powiedziała cicho. – Mam wprawdzie doświadczenie w wycinaniu lalek z papieru, ale na to nie ma specjalnego popytu na rynku pracy.

Jed nie dał się zbyć byle czym.

– Załóżmy, że możesz gdybać. Kim byś wtedy została?

Namyślając się, patrzyła na złote odblaski światła w głębokiej czerwieni wina. Gdyby wyznała, co chce robić, na pewno by się z niej śmiał. To jest głupie i nierealne marzenie.

– Myślę, że najbardziej odpowiadałaby mi praca sprawozdawcy radiowego – oświadczyła w końcu.

– Coś takiego robiłam przecież dla dziadka. Ale nie ma, o ile wiem, kobiet w tym zawodzie.

– Sprawozdania radiowe – zastanawiał się, nie okazując specjalnego ożywienia. Pociągnął łyk wina.

– Masz rację. Kobiety raczej tym się nie zajmują. Oczywiście nie wchodzi także do męskich szatni, ale tym się akurat nie przejęłaś. Przyjmijmy więc, że mogłabyś zostać sprawozdawcą radiowym, na przekór wszystkiemu. Co wtedy byłoby szczytem twoich marzeń? Relacjonowanie spotkań zawodowców w sieci krajowej? Mieszkanie na poddaszu w Nowym Jorku z ciepłym kontraktem w garści?

– Skądże znowu – odparła szczerze zdziwiona.

– Zostałabym tutaj. Kocham Fayetteville i Szare Wilki.

– Sądziłem, że większość ludzi z telewizji uważa przejście do radia za krok wstecz?

– To prawda. Dlatego niechętnie o tym mówię. Zmarszczył się, obracając w dłoni swój kieliszek.

– Jesteś kłębkiem sprzeczności – mruknął, kręcąc głową.

– A jakie jest twoje marzenie? – zapytała, zawstydzona, że mówiła o rzeczach tak przyziemnych. – Być trenerem w Notre Dame? Na Uniwersytecie Kalifornijskim? Czy drużyny zawodowej?

Obdarzył ją jednym ze swych na poły drwiących spojrzeń.

– Zostałabym tutaj. Wygląda na to, że jesteśmy skazani na siebie. Wybraliśmy to

samo terytorium.

– Ale przecież ty jesteś naprawdę dobry – zaprotestowała zaskoczona Scotty. – Nie mówię tego, żeby ci schlebiać. Mógłbyś zejść wyżej. Jeśli będzie ci szło tak dalej, zaczniesz dostawać propozycje. I to dobre.

– Ja nie czekam na lepsze propozycje. St. Thomas to dla mnie idealne miejsce. Tu jest prawdziwa koszykówka. Zawodnicy kochają grę. Jak w dawnych czasach, zanim pojawiła się telewizja i grube pieniądze, które zdominowały sport i postawiły wszystko na głowie.

– Dlaczego zawsze myślisz o telewizji jak o wrogu? – zapytała poruszona. Znow sięgnęła po kieliszek, ale powstrzymała się. I bez chianti miała zamęt w głowie.

– Telewizja odmieniła sport. Za bardzo odmieniła. Zasady gier są ciągle zmieniane pod kątem widowiskowości. To jest pierwsza rzecz, która mi się nie podoba.

Westchnęła. Wiedziała, że nie sposób odeprzeć tego zarzutu. Opinia Jeda nie była odosobniona.

– Ale najgorsza rzecz to pieniądze i presja, jaką wywierają one na zawodników. – Z irytacją potrząsnął głową. – Dzieciaki prosto z college’u zarabiają milion dolarów w ciągu sezonu. Kibice tego nie cierpią. Niektórzy zostają gwiazdami mając osiemnaście lat. I nie zdają sobie sprawy z tego, że wokół nich roi się od żarłocznych rekinów.

Poważnie skinęła głową, poruszona prawdą tych spostrzeżeń. Zawodowcy, a nawet gracze z college’ów, zbyt szybko zostawali gwiazdami i robili fortuny. Za dużo pieniędzy, za duża presja, za duży rozgłos. Pociechy szukali często w alkoholu albo narkotykach, które okresowo łagodziły wszelkie napięcia.

– Ale chyba w naszym małym St. Thomas zawodnicy nie wpadną w te pułapki? – zapytała.

– Mam nadzieję. Nasze mecze są w całości transmitowane przez radio, ale telewizja pokazuje tylko najciekawsze fragmenty. Większość z naszych zawodników nigdy nie zdobędzie krajowego rozgłosu. Nie przejdą na zawodowstwo. Wyjątkiem może być Hobie Grant, o ile uda mi się wyprowadzić go na właściwą drogę. Mamy jednak nie mówić o nim, więc zmieńmy temat. Czy naprawdę lubisz wolne tańce?

– Tak, bardzo. – Była lekko zaskoczona. – Dlaczego pytasz?

– Zaprosiłem cię dziś na tańce. Zatańczymy więc?

– Tutaj? – Jego propozycja sprawiła, że dreszcze przebiegły jej po plecach.

– Tak, tutaj. Ten pomysł chyba cię nie przeraża?

– Uśmiechnął się wyzywająco.

– Oczywiście, że nie – odparła zawadiacko, nie chcąc przyznać, że tak naprawdę wpadła w popłoch.

Wstał i włączył zestaw stereo. Następnie podszedł do niej i podał jej rękę. Gdy wstała, przycisnął ją mocno do swej szerokiej piersi i pociągnął w stronę intymnie oświetlonego saloniku.

– Będziesz musiała trochę pocierpieć – powiedział miękko. – Z tym kolanem jestem mistrzem w powolnym tańczeniu.

W jego ramionach czuła się zarazem niepewnie i swojsko. Przyciągnął ją tak blisko, że musiała wtulić twarz w jego twardą klatkę piersiową. Przez włosy czuła dotyk jego policzka.

Poruszali się bardzo wolno. Jego krok był nierówny, ale Scotty to nie przeszkadzało. Zapragnęła, żeby ta maskarada stała się rzeczywistością...

– Czy kiedykolwiek porozmawiasz ze mną o swojej pracy, o zespole? – zapytała miękko. Z trudem powstrzymała się, by nie przesunąć palcem po naszywce na kieszeni jego koszuli.

– Nie – odparł. Jego oddech był ciepły i pachniał winem. – Nie, dopóki jesteś reporterką. Wiesz o tym.

– Dlaczego tak bardzo nienawidzisz reporterów?

– Westchnęła. Chciała, by opowiedział jej o Helenie Schaffer.

– Bo zawsze zadają pytania w rodzaju: „Dlaczego tak bardzo nienawidzisz reporterów?” Nie zadawaj pytań, Scotty. Dobrze jest jak jest. Udawajmy, że niczego ponadto nam nie potrzeba. – Poczwała na włosach przelotny dotyk jego ust i zastanawiała się, czy wyczuł, jak bije jej serce. – Ale powiem ci. Pewnego dnia mogłabyś użyć jednej z odpowiedzi jako broni przeciwko mnie i wysadzić mnie z siodła. Na tym polega twoja praca, wiesz dobrze.

– Nie, nigdy bym tak nie zrobiła – powiedziała, przymykając oczy i rozkoszując się bliskością jego ciała. – Mógłbyś mi zaufać...

Przesunął dłonią po jej plecach, zatrzymał się na wysokości wąskiej talii i przysunął Scotty jeszcze bliżej do siebie. Delikatnie pocałował jej ucho.

– Mógłbym ci zaufać – kpił łagodnie. Wyczuła gorycz w jego niskim głosie. – Już ci powiedziałem, że mądry człowiek nie popełnia dwa razy tego samego błędu. Jesteś niewinna, tak przynajmniej sędzę, ale jak długo taka pozostaniesz, pracując w telewizji?

– Ale... – chciała zaprotestować.

– Ale – oczy mu się rozplomieniły – pozostaje jeszcze wzajemne zauroczenie, prawda? Och, niech te zielone oczy spojrzą na mnie śmiało... Nie wmawiaj sobie, że jesteś aż tak niewinna. Po co byś tu przychodziła? Kusisz mnie...

Muzyka przestała działać na nią zmysłowo i usypiająco. Poczula się zażenowana i skonsternowana.

– Nie przyszedłam tu, żeby cię kusić... – zdążyła powiedzieć, nim przybliżył jej twarz do swojej.

– Pora jest już trochę za późna, bym mógł w to uwierzyć, ślicznotko. Już mnie za długo kusisz. – Przywarł ustami do jej ust.

Przez chwilę czuła, że błyskawica przeszywa ją na wylot. Ale potem zaczęła odpowiadać mu z taką żarliwością, że aż ją to przestraszyło. Próbowwała więc, bez przekonania, odpychać go, ale wtedy jedną ręką chwycił ją za nadgarstek, a drugą przycisnął do siebie tak mocno, że o mało nie straciła tchu. Jego usta pytały ją, czy go pragnie, a jej usta odpowiadały, że tak. Pragnęła go z całej siły.

Wyczuł to i nie rozluźniał uścisku. Nie potrafiła się dłużej bronić. Upajała ją jego prawdziwie męska namiętność. Było tak, jakby opadała w czarny, wirujący kosmos, w którym zniesione są wszelkie ziemskie prawa. Istnieje tylko dotyk. I pożądanie.

Owijala ramiona wokół jego wysmukłej szyi, by pozbyć się uczucia słabości, by nasycić rozbudzony przez niego głód. Kochała go i teraz była w jego objęciach. Wiedziała, dokąd to prowadzi, ale już o to nie dbała.

Ręka Jeda wędrowała pod jej swetrem. Pieszcząc plecy, przesunęła się do przestrzeni między piersiami i gładziła to wrażliwe miejsce z rozogniającą powolnością. Potem jego palce dotknęły czubka nabrzmiałego wzgórka osłoniętego koronkowym stanikiem. Odsłonił je.

Ciemny kosmos zamigotał okruchami srebrzystego światła, które wirowały jak rodzące się planety. Scotty odpowiedziała na jego pieszczoty. Wygięła się, jakby chcąc dopomóc dziełu stworzenia.

Jęknął głucho, a potem porwał ją w ramiona. Zdawało się jej, że została pochwycona przez kometę, która niesie ją dalej, w niezbadane galaktyki.

Nagle poczuła pod sobą kanapę, a nad sobą jego muskularne ciało. Gorące usta dotykały jej odkrytych ramion. Rozpiął koszulę i prowadził jej dłonie, by odkrywały szerokość jego owłosionej piersi.

Potem usta zastąpiły palce i łagodnie, ale stanowczo penetrowały obszar między piersiami. Ciemność znów zdawała się rozbłyskiwać srebrnymi iskrami. Jej wrażliwe ciało poddawało się namiętnym torturom, palce pieściły jego zarośniętą

pierś.

Nagle wszystko ustało.

Wyprostował się i zaklął szeptem. Na wpół lękliwie rozchyliła oczy i spojrzała na niego.

– Ubieraj się – rzucił ponuro. – Myślę, że przerwało nam coś, co towarzystwa ubezpieczeniowe eufemistycznie nazywają „zrządzeniem opatrności”.

Jak przez mgłę usłyszała chrzęst opon na wyźwirowanym podjeździe. Uświadomiła sobie, że szczeka pies – to Mo dawał sygnał alarmowy.

Jed delikatnie poprawił na niej sweter.

– Zapnij guziki. Albo twoja matka-czarodziejka ma nad tobą pieczę, albo moja nade mną. Skończymy to później.

Jed wstał, zapiął koszulę, wpuścił ją w spodnie i poszedł otworzyć drzwi.

Scotty uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że znajduje się w stanie, który Francuzi określają mianem desabille. Pośpiesznie poprawiła na sobie ubranie, przygładziła dłonią kasztanowe włosy, starała się uspokoić oddech i powstrzymać drżenie nóg i rąk.

Usłyszała trzask drzwi od samochodu i odgłos kroków na stopniach ganku. Poczwała, że rumieni się ze wstydu i zdumienia na myśl o tym, jak bardzo była powolna Jedowi. Jeszcze parę chwil i dopuściłaby do... doszłoby do... A więc to jest miłość. Zamienia cię w słodki ogień tęsknoty, który bucha płomieniem za sprawą tego jednego mężczyzny.

Z ganka dobiegł zgłębki młodych, męskich głosów, przez które przebijał się głębszy głos Granta.

– ... mam tego dosyć! Haruję jak niewolnik, a potem wędruję na ławkę! Na ławkę! – mówił ktoś gniewnie.

– ... nie wiedziałem, co robić... przyprowadziłem go tutaj – z zakłopotaniem, prawie przestraszonym tłumaczył drugi głos.

– Piliście? – usłyszała Jeda.

– Nie, słowo honoru – powiedział drugi głos.

– Nie piłem! Nic nie robię, tylko trenuję, trenuję, trenuję! – złorzeczył pierwszy głos. – A potem pan mnie sadza na ławce!

– Panie trenerze, może wejdziemy do środka? Ktoś może go tu usłyszeć.

Po chwili Jed i trzech wysocy chłopcy pojawili się w saloniku. Scotty, wtulona w róg sofy, próbowała stać się niewidzialna. Hobie Grant był wyraźnie rozwścieczony. Ten wysoki, chudy chłopak najchętniej by komuś przyłożył. Rozpoznała też Stanhope'a i Claridge'a. Stanhope był muskularnym młodym

Murzynem, zaś Claridge chudym rudzielcem o wylęknionej, piegowatej twarzy.

– Nie sadza mnie pan na ławce ze względów dyscyplinarnych, a tylko po to, żeby zademonstrować swoją władzę! Wielki Bóg Quinn! – Ładną twarz Hobie’ego wykrzywił grymas gniewu. – Mam tego dość i tyle! Mam tego po dziurki w nosie!

Scotty nagle poczuła lęk. Tak o Hobie’ego Granta, jak i o Jeda. Zarzuty chłopca były poważne i gdyby kiedykolwiek wydostały się na zewnątrz, mogłyby narobić dużej szkody.

– Siadaj – twardo nakazał mu Jed.

Grant mierzył go wzrokiem i zaciskał pięści. Scotty jeszcze głębiej wtuliła się w sofę.

– Grant, siadaj, do cholery! – Siła tego nakazu przekonała chłopaka. Wzruszył ramionami, jakby sprawa nie jego dotyczyła i, wciąż spięty, usiadł na krześle.

Jed stanął za nim. Jego głos nagle złagodniał.

– O co chodzi, Grant? – Położył rękę na jego ramieniu. – Uważasz, że każę ci za ciężko pracować, tak?

– Tak... Nie... – Twarz Granta znieruchomiała.

– Hobie – powiedział miękko Jed, mocniej ściskając chłopca za ramię – porozmawiaj ze mną.

Grant niewidzącym wzrokiem patrzył przed siebie. Pozostali dwaj chłopcy dostrzegli Scotty i rzucali na nią niespokojne spojrzenia.

Po chwili w Grancie zaszła zaskakująca zmiana. Nagle uświadomił sobie, gdzie jest. Na jego twarzy widać było zmieszanie, zdumienie, potem prawie przerażenie. Zesztywniał jeszcze bardziej, a potem jakby narzucił sobie wewnętrzny spokój. Wyprostował długie nogi i roześmiał się.

Podniósł wzrok na Jeda i zaśmiał się raz jeszcze.

– Dałem panu wycisk, co trenerze? Im też. Wszystkim dałem wycisk.

– Co się z tobą dzieje, Grant? – Głos Jeda był surowy, ale Scotty wyczuwała w nim zatroskanie.

– Nic takiego. – Chłopak potrząsnął głową i znów się zaśmiał. – Wybuchnąłem. Czuję, jak to wzbiera. Wybuchnąłem, ale już mi przeszło. Jestem nerwowy, pan trener wie.

– Jesteś zbyt nerwowy. Co cię naszło? No dalej, Grant, pogadaj ze mną. Co cię naszło?

– Nic mnie nie naszło. Wybuchnąłem, ale już czuję się lepiej. Chcę teraz iść do domu. Stanhope i Claridge zaczęli panikować i tyle. Musiałem wyładować emocje.

Jed spojrział na Stanhope’a i Claridge’a.

– Kiedy i jak to się zaczęło? Stanhope głośno przełknął.

– Dopiero co. Poszliśmy na pizzę. Przedtem uczyliśmy się. Facet z sąsiedniego stolika zaczął zaczepiać Hobie’ego, że ciągle siedzi na ławce. J wtedy on wybuchł. Wyciągnęliśmy go stamtąd siłą.

Błękitne oczy Jeda zwęziły się.

– Chłopaki, braliście jakieś świństwo? Powiedzcie mi, na litość boską.

Claridge wyglądał na osłupiałego.

– Ma pan na myśli narkotyki? Nie, przysięgam.

– Grant? – Nie dokończone pytanie zawisło ciężko w powietrzu.

– Ja nie biorę, trenerze. – Grant robił wrażenie oburzonego. – Nie eksperymentuję ze swoją głową. Widziałem za wielu frajerów, którzy się przez to wykończyli. Jestem czysty.

Jed przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

– Wierzę ci. – Rzucił rozkazujące spojrzenie Stanhope’owi i Claridge’owi. – No, chłopcy, wracajcie do łóżek. Pojadę z wami. Muszę wyjaśnić to do końca.

– Ze mną już wszystko dobrze – zaprotestował Grant. – Nie chciałem powiedzieć tego, co powiedziałem. Przepraszam. Wszyscy wiemy, że jest pan świetnym trenerem. To był... to był ciężki sezon. Musiałem po prostu wyładować emocje i tyle.

– Jadę z wami – powtórzył surowo Jed. – Pakujcie się do waszego samochodu. Ja zjawię się za chwilę.

Grant zaczął znowu protestować, ale zdecydowany wyraz twarzy Jeda uciszył go. Bezradnie wzruszył ramionami i wstał z miejsca. Stanhope i Claridge mieli z lekka zbaraniałe miny, natomiast Grant szedł dumnie wyprostowany.

Jed zwrócił się w stronę sofy, na której wciąż siedziała osłupiała Scotty. Zmroził ją spojrzeniem i tak mocno chwycił za ramiona, że aż zabołało.

– Niczego nie widziałaś, niczego nie słyszałaś – powiedział, potrząsając nią. – Rozumiesz?

– Ale...

– Żadnych ale. Żadnych. Z tym dzieciakiem dzieje się coś niedobrego i to ja muszę się dowiedzieć, o co chodzi. Jestem za niego odpowiedzialny. To dobry chłopak. Lubię go. Zrobię, co w mojej mocy, by go ochronić. Jasne?

Tępo pokiwała głową, czując szum w skroniach.

– Do diabła... – pokręcił głową z rozczarowaniem.

– Będziesz musiała sama dotrzeć do domu. Dasz radę?

– Tak, nie musisz się na mnie oglądać – odparła.

– Jesteś mu potrzebny. Ale dlaczego...

– Żadnych pytań! Sam powinienem udać się do psychiatry, skoro zgodziłem się na twoje odwiedziny tutaj. Dobry Boże, reporterka. I ja, facet, który powtarzał, że nie popełni dwa razy tego samego błędu!

Poczuła, że się rumieni.

– Ale za późno. Już tu jesteś. Jeśli kiedykolwiek piśniesz słówko o Grancie i o tym, co tu dziś widziałaś, bez wahania skręcę ci tę piękną szyjkę. Wiele rzeczy powiedziałem dla żartu. Ale teraz mówię poważnie.

Obrócił się na pięcie, w trzech susach dopadł drzwi i już go nie było.

Scotty opadła na sofę z obolałą głową. W jej skołowanym umyśle odbijały się echem słowa: „Wiele rzeczy powiedziałem dla żartu”. Nie był nią w najmniejszym stopniu zainteresowany. A ona, naiwna, przyszła tutaj. Wykorzystałby ją równie bezlitośnie, jak każdy Don Juan wykorzystuje głupią i uległą kobietę. Widział w niej nieprzyjaciela, z którym należy sobie tak czy inaczej poradzić. Przecież on żyje z prowadzenia gier i zwyciężania. A ona niemal pozwoliła mu wygrać i, jako zwycięzcy, wziąć wszystko!

Rozdział 9

Scotty siedziała w sali konferencyjnej z Mycroftem i poirytowanym Wallym. Jej stargane nerwy znowu były napięte.

– Nie zrobię tego – oświadczyła. – Raczej złożę wymówienie.

– To ja ci znalazłem tę historię – krzyczał Wally. – Dosłownie spadła mi z nieba. Do cholery, mam naocznego świadka. Grant upił się wczorajszej nocy i gotów był rozwalić tę pizzerię. Oskarżał Quinna, o co się tylko da – przy pełnej sali. Grant siedzi na ławce. To są wiadomości, Morgan, a ty ani drgniesz i mówisz mi, że tego nie zrobisz! W takim razie, na Boga, co ty robisz w telewizji? To jest pikantna historia i jest świadek.

– I mamy kolejną aferę. – Śmiały się zza grubych szkieł żółtawe oczy Mycrofta.

– Twój świadek się myli – gorąco zaprzeczyła Scotty. Zwróciła się do Mycrofta. – Nie ma żadnej afery. Grant nie był pijany. To zwykłe kłamstwo.

– Przestań kwestionować to, co mówię! – Twarz Wally'ego zrobiła się czerwona. – Czy chcesz podważyć wiarygodność mego źródła?

– Tak! Masz błędne informacje.

– Posłuchaj, Morgan – warknął Wally – Szare Wilki to twoja działka. Ale na razie nie zrobiłaś nic poza mruganiem rzęsami na widok Jeda. Teraz masz dobry materiał. Jeśli Grant zostanie wyłączony z gry przez cały sezon, szanse Wilków spadają na łeb, na szyję. Są skończeni. Także twój ukochany Quinn. O co chodzi? Boisz się, że nie będziesz miała do kogo robić maślanych oczu?

– Wally! – Oczy Scotty płonęły zielonym blaskiem.

– Zwykle nie posuwam się do rękoczynów, ale dziś mam ochotę uderzyć cię i wynieść się stąd.

– Zanim się wyniesiesz, lepiej powiedz, skąd masz pewność, że mój świadek się myli.

– Spokojnie, Wally – powiedział Mycroft, skubiąc palcami dziobaty policzek. – Może Scotty zaczęła trochę... osłaniać Quinna? Jest młoda, ulega wpływom. Oczywiście, kochanie, zdajesz sobie sprawę, że właśnie o to chodzi Quinnowi: żeby cię mieć po swojej stronie. To jednak nie byłoby dobre dla ciebie jako reporterki.

– Ten niebieskooki Casanova owinął ją wokół swego małego palca – użalał się Wally. – Powinienem był to przewidzieć.

– Ze sprawy Granta można by zrobić dużą historię – prychnął Mycroft. – Jeśli

nie był pod działaniem jakiegoś środka, to postawił poważne zarzuty, na które Quinn musi odpowiedzieć. Scotty, nie możesz zaprzeczać ze względu na swoje... swoje uczucia.

– Nie jestem zaangażowana uczuciowo w sprawę Quinna – odparła, mając nadzieję, że mówi prawdę.

– Po prostu wiem, że świadek Wally’ego myli się.

– W takim razie, co wiesz i skąd to wiesz – zapytał przymilnie Mycroft.

Do licha, pomyślała. Jeśli nie chce dopuścić do puszczania tego na antenę, musi wyjawic przynajmniej część tego, co widziała. Jed zniechęci ją za to, ale nie ma rady. Jej milczenie może kosztować go więcej niż to, że zacznie mówić. A zresztą... I tak o nią nie dba...

– Wiem, że Hobie Grant nie był pijany, bo go widziałam – powiedziała ostrożnie.

– Gdzie? – dopytywał się Mycroft z błyskiem w oczach. – Kiedy?

– Widziałam go po incydencie w restauracji. Mniejsza o to, gdzie.

– I nie sądzisz, że pił?

– Nie, nie sądzę – odparła krótko. – Poza tym on upierał się, że nie pił, co potwierdzili jego koledzy.

– Ktoś pytał więc o to? – Mycroft zachowywał się tak, jakby nie dowierzał własnym uszom.

– Tak, a on zaprzeczył. Uwierzyłam mu.

– Zaprzeczył? – Mycroft pokręcił głową, przeżuając informacje. – Czy słyszałaś, jak mówi to samo, co w restauracji, że Quinn bez powodu posadził go na ławce?

Scotty umilkła. Mycroft zrećnie prowadził ją na tory, po których nie chciała się poruszać.

– Słyszałam też, jak odwoływał te stwierdzenia. Nie ma żadnej historii. Hobie Grant jest bardzo młody, nie skończył nawet dziewiętnastu lat. Był rozdrażniony. Quinn poradzi sobie z tym. Nie ma skandalu, nie ma różnicy zdań, nie ma materiału. Kropka. Nie ma powodu, by to pokazywać.

Mycroft obdarzył ją jednym ze swych rzadkich, powściągliwych uśmiezków. Lekko zakołysał się na krześle.

– W porządku, Scotty. Jeśli tak bardzo obstajesz przy tym, nie musisz robić tego materiału. Wynajdę ci nawet na dzisiaj inne zajęcie, żebyś już nie myślała o tej sprawie. – Przerzucił parę kartek w notatniku. – W Salem są targi rzemiosła. Wyjedź sobie na wieś, odpocznij. Co ty na to?

– Czy mam rozumieć, że ukręcisz łeb tamtej historii? – zapytała z ulgą. Może jeśli Jed zobaczy, że sprawa nie idzie na antenę, przestanie patrzeć na nią jak na wampira.

– Nie chcielibyśmy puszczać w eter nie sprawdzonych czy niepełnych informacji – zapewnił.

– Dziękuję, że mi uwierzyliście – powiedziała uspokojona.

– Wróć na tyle wcześniej, by zdążyć na wieczorny mecz Wilków – rzekł Mycroft piskliwie. – A w wolnej chwili, Scotty, pomyśl o Quinnie. Ma reputację kobieciarza. Mógłby zawrócić w głowie zwyczajnej kobiecie. Ale nie reporterce. I to dobrej. Masz zadatki na bardzo dobrą reporterkę, pamiętaj.

– Ale ja go nie osłaniam. Powiedziałam wam prawdę.

– Wiem o tym.

Z tonu Mycrofta Scotty wywnioskowała, że czas na nią. Spodziewała się, że Wally będzie wściekły, ale zobaczyła jego zadowoloną twarz. To nie miało znaczenia. Najważniejsze, że udało się przekonać ich, by zapomnieli o tamtej sprawie. Od tygodni nie była z niczego tak dumna.

– Co teraz? – zapytał Mycroft w chwilę po wyjściu Scotty z pokoju. Jego blade oczy błyszczały.

– Brzmi za ładnie, żeby mogło być prawdą. – Wally uśmiechnął się, trzaskając palcami. – Mamy teraz dwóch naocznych świadków, w tym jednego z naszego zespołu. Pannie Morgan to się zapewne nie spodoba. Quinn ją zawojował. Będzie chciała odejść. Ja się nie sprzeciwię.

– Nigdy nie lubiłeś dzielić się popularnością, co Wally? – zauważył Mycroft. – Problem polega tylko na tym, że lubi ją ten głupiec Poteau. Prawdę powiedziawszy, lubi ją bardziej od ciebie.

– Pan Poteau? Właściciel? – Wally zbladł.

– Nie przejmuj się, Wally. Myśli o tym, by ją awansować, a ja jedynie przyspieszę ten proces. – Zacisnął cienkie usta i jak kobra lekko zakołysał się na krześle.

Gdy wieczorem Scotty dotarła z powrotem do Benton Arena, była wyczerpana i rozżalona. W Salem nie działo się nic ciekawego. Była pewna, że jej materiał nigdy nie trafi na antenę. Co gorsza, młody chłopak, który pojechał zamiast Hassledorfa, szalał na szosie i albo składał jej niedwuznaczne propozycje, albo przechwalał się poprzednimi podbojami. Zapewne uważał, że nazwisko Hotboddy do czegoś zobowiązuje.

Gdy przypinała sobie prasową plaketkę i rozglądała się za Hassledorfem, mecz już się rozpoczął. Hałas był ogłuszający. Po raz pierwszy w życiu nie cieszyła się, że jest na meczu koszykówki.

Niewidzącymi oczyma patrzyła na znajome obrazy. Spoceni zawodnicy ustawili się wzdłuż półkolistej linii. Claridge przygotowywał się do rzutu. Dopینگiem kierowali wodzireje w czarno-złotykh kostiumach. Przy linii bocznej student w ubraniu parodiującym strój Wilków wywijał kozły. Orkiestra dęta grała bojową pieśń St. Thomas. Tablica świetlna głosiła, że Wilki przegrywają pięcioma punktami.

Tak naprawdę Scotty widziała tylko Jeda, siedzącego na ławce z kamienną twarzą. Obok niego dostrzegła ponurego Hobie'ego Grania, który wciąż nie zdejmował czarno-złotego dresu. A więc historia Wally'ego przynajmniej w części była prawdziwa. Grant dziś nie gra. To wyjaśnia, dlaczego Wilki przegrywają. Nawet dziwne, że zespół stracił tylko tyle punktów.

Claridge trafił do kosza i walka rozgorzała na nowo. Hassledorf był, jak zwykle, zaspany. Zobaczywszy Scotty, zatrzymał się i otarł pot z czoła.

– Koszykówka mnie wykończy – narzekał. – Dlaczego się spóźniłaś? Co cię u licha zatrzymało?

– Byłam w Salem, z polecenia Mycrofta. – Miała nieszczęśliwą minę. – Co się tutaj dzieje? Czy Wilki mają jeszcze szanse?

Hassledorf wyjął chustkę z kieszeni i otarł sobie kark.

– Chyba tak. Quinn ostro prowadzi chłopców. Ale tłum jest przeciwko niemu. Chcą Granta. Quinna przywitali gwizdami.

– Gwizdami?

– Tak. – Hassledorf czyścił teraz okulary. – Kibice przywykli do zwycięstw. Nie chcą, żeby Grant siedział na ławce. Ale i on ma przeciwników. Były gwizdy i dla niego.

– Nie podoba mi się to – powiedziała Scotty ponuro. Jed na pewno przetrzyma falę krytyki. Co do Granta nie była pewna.

– Mnie też nie – przyznał Hassledorf, którego oddech wrócił już do normy. – Szkoda, że my musieliśmy się w to wpakować.

– My? Jak to my? – spojrzała na niego zdumiona.

– Nasza stacja – zmarszczył brwi. Nie winię cię za to, że pozwoliłaś Wally'emu załatwić brudną robotę. Telewizja zawsze żywiła się skandalami.

Zaczęła coś mówić, ale tłum znów zawył.

– Ten mecz mnie zabije – powtórzył złowrogo i pobiegł ku linii bocznej, by

nadażyć za szybką akcją Wilków.

Scotty dostrzegła zawodnika Wilków wyskakującego w górę i wbijającego piłkę do kosza. Tłum huczał. Rzuciła spojrzenie na Jeda, który kucnął przy ławce, wyjaśniając coś dwóm graczom, mającym właśnie wejść na boisko. Był napięty i skoncentrowany.

Co miał na myśli Hassledorf, mówiąc że ich stacja jest odpowiedzialna za wrogość okazywaną przez kibiców? Że nie wini Scotty za brudną robotę Wally'ego? Porzuciła złe podejrzenia, bo Wilki znów przejęły piłkę. Wszyscy oszaleli z podniecenia. Wilki bez Granta zdawały się być skazane na porażkę, a jednak... Nie widziała jeszcze żadnej drużyny z college'u, która walczyłaby z większą od nich zaciętością. Grali też z zawrotną szybkością.

Zdała sobie sprawę z tego, że to Jed popycha ich do przodu, zachęca do walki, obmyśla śmiałą, zaskakującą strategię. Zmusza do wykrzesania z siebie wszystkich sił i umiejętności.

Wilki wyrównały, zaczęły prowadzić, potem straciły przewagę. Dwa punkty straty, znów prowadzenie. Tłum dostawał histerii. Jakiś kibic zemdlął i wynoszono go na noszach.

Było to widowisko nie z tego świata. W chłopców jakby szatan wstąpił. Stary sprawozdawca radiowy, Carruthers, zgięty nad mikrofonem, z najwyższym trudem nadał za szaleńczym tempem akcji. Jed kuśtykał wzdłuż linii bocznej, krzyczał i gestykulował. Hobie Grant był złowieszczo nieruchomy, jakby skamieniał.

Podniecenie udzielało się każdemu. Trener drużyny przeciwników zakwestionował decyzję sędziego, dopadł do ławki Jeda, zaczął wymachiwać rękami i mało brakowało, by trzeba go było obezwładniać. Kibic rywali Wilków rzucił na boisko kubek wypełniony coca-colą z lodem. Po szarpaninie został wyprowadzony przez policję. Po jego usunięciu boisko zostało zasypane opakowaniami po popcornie i pustymi kubkami. Wyprowadzono kolejnych kibiców.

Gra zrobiła się jeszcze szybsza, twardsza, bardziej zacięta. Scotty nie dowierzała własnym oczom. Jed tego dokonał, pomyślała. Stawiał czoło olbrzymowi i nie poddawał się. Gamp, pomyślała, gdy tłum wydzierał się wniebogłosy, szkoda, że cię tu nie ma. Byłbyś zachwycony.

Wilki znów przejęły piłkę i wdały się w walkę pod własnym koszem. Stanhope, ich napastnik, upadł i zaczął zwijać się z bólu na podłodze.

Scotty z z troskaniem patrzyła na Jeda. Wszedł właśnie na boisko i ukląkł przy kontuzjowanym chłopcu, który trzymał się za łydkę. Jednak po chwili jej uwagę

przykuło jakieś zamieszanie przy linii bocznej.

Zwróciła spojrzenie ku stolikowi Carruthersa i zobaczyła, jak sprawozdawca osuwa się na mikrofon. Dwóch ludzi ściągnęło go z krzesła i położyło na podłodze.

Jakby przez sen zobaczyła tłum gromadzący się wokół Carruthersa i sanitariuszy biegnących w jego stronę. Karetki pogotowia zawsze pełniły dyżur przy stadionie. Pomocy wymagali często nie tylko kontuzjowani zawodnicy, ale i zbyt rozgorączkowani kibice.

Mecz został na chwilę wstrzymany. Stanhope, choć obolały, był już na nogach. Jed poklepał go po ramieniu i odesłał na ławkę. Potem udał się do stolika prasowego i zaczął o czymś rozmawiać z inżynierem transmisji i urzędnikami.

Serce Scotty galopowało jak rozhukany żreback. Tak dużo się działo. Co się stało Fredowi Carruthersowi? Scotty szczerze go lubiła, choć mówił, co myślał bez osłonek.

Nagle zbliżył się do niej Jed, ze sztywną twarzą i płonącymi oczami. Złapał ją gwałtownie za nadgarstek.

– Chodź – warknął. – Zobaczymy, czy to też było kłamstwo. – Bezceremonialnie pociągnął ją ku stolikowi prasowemu.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała, mając świadomość, że na nich skupia się teraz uwaga niespokojnego tłumu.

Popchnął ją w stronę krzesła Carruthersa.

– Zastąp go – nakazał. – To ty jesteś tą małą laleczką, która chciałaby pracować w radiu, prawda? A może ta cała opowieść o tobie i twoim biednym, ślepym dziadku jest kolejnym stekiem kłamstw – tak jak przymilne prośby, żebym ci zaufał? Zaufać ci... powinienem cię udusić, gdy pierwszy raz podetknęłaś mi mikrofon pod usta, ty wiedzmo.

– Nie wiem, o czym... – urwała, przerażona wyrazem jego twarzy.

Podsunał jej puste krzesło i posadził na nim siłą.

– No, dalej – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Twierdziłaś, że znasz się na tym. Pokaż więc wszystkim, co umiesz, albo przyznaj, że... że jesteś nędzną oszustką.

Stał nad nią przez wydłużającą się w nieskończoność chwilę, po czym wrócił do swych zawodników. Jeszcze nigdy nie widziała go tak rozwścieczonego. Nie miała jednak czasu, by to rozważyć.

– Zakładaj słuchawki – polecił krótko asystent inżyniera. – Poradzisz sobie z tym? Rozumiesz nasze sygnały?

– Chyba tak – odparła oszołomiona. W college'u skończyła kursy obsługi

radiostacji. Założyła słuchawki i w jej głowie zaczął brzęczeć natrętny głos inżyniera transmisji.

Przełknęła ślinę. Zaschło jej w ustach, a kiedy nachylała się nad mikrofonem, czuła, że trzęsie się jej broda. Czekwała na sygnał rozpoczęcia transmisji, widząc że sędziowie szykują się do wznowienia gry.

Muszę po prostu udawać, że mówię do Gampa, jakby tu był – starała się uspokoić. Przywołała jego obraz. Był jej dobrym, opiekuńczym duchem. Usiłowała stłumić burzę uczuć, rozpętującą się w sercu. Usłyszała sygnał i zaczęła: „Mówi Scotty Morgan, w zastępstwie za Freda Carruthersa... Wilki mają piłkę. Claridge podaje do Jeffersona... „

Reszta meczu upłynęła Scotty jak jakiś gorączkowy sen. Wyobrażała sobie wciąż, że siedzi przy niej Gamp. To pomagało, ale i tak musiała dawać z siebie wszystko, by nadążyć za tempem i zmiennością gry.

Gdy po dwóch dogrywkach zadźwięczał wreszcie końcowy dzwonek, Wilki prowadziły zaledwie jednym punktem. Scotty czuła się tak wykończona, jakby wlokło ją stado dzikich koni. Opadła na krzesło. Już po wszystkim. Nie wiedziała nawet, jak to wypadło. Jej świadomość rejestrowała obraz rozradowanych Wilków i Jeda, z ręką na ramieniu Hobie’ego Granta, nic nie mówiącego, patrzącego na nią poprzez boisko. Grant siedział, twarz miał ukrytą w dłoniach. Co się z nim dzieje? – pomyślała ospale.

Asystent inżyniera wyciągnął ją ze stanowiska i uściśkał tak, że o mało nie wyzionęła ducha. Był to brodaty mężczyzna w średnim wieku.

– Kochanie, byłaś cudowna – mówił rozpromieniony. – Niewiarygodne. Powiem ci: kiedy usłyszałem, że przysyłają w zastępstwie kobietę, serce mi zamarło. Ale ty byłaś fenomenalna. Co za naturalność! Z nieba nam spadłaś.

– Jak się czuje Fred Carruthers? – zapytała. Kolana dygotały jej tak bardzo, że ledwie mogła stać.

– W porządku – poinformował ją inżynier. Atak apopleksji, ale bardzo łagodny. Od początku sezonu mówił, że jest za stary na tego rodzaju rozrywki. Chyba matka natura dała mu znak, że się nie mylił.

Scotty chciała zadać więcej pytań, ale nagle otoczyła ją masa ludzi. Wszyscy ściskali jej ręce, poklepywali po ramieniu i coś niezrozumiale bełkotali. Wyratował ją Hassledorf.

– Chodźże już – gderał, wyciągając ją z tłumu.

– Pracujesz dla Kanału 50, pamiętasz? Mamy jeszcze do nakręcenia rozmowę po meczu. No i co, nie myślisz o zmianie pracy? Słuchałem cię, kiedy miałem

wolną chwilę. Niezła jesteś...

– Naprawdę byłam okay? – uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Jak mawiają w Hollywood, zdumiewająca. Nie mam specjalnej ochoty na rozmowę z Ouinnem – wyznał szczerze.

– Dlaczego? – Scotty nieco już ochłoneła, ale nadal poruszała się jakby we śnie.

– Po naszym programie... – powiedział Hassledorf tonem sugerującym, że to oczywiste.

– Jakim programie?

Przewiercił ją doświadczonymi, szarymi oczami.

– Programie, który poszedł przed dzisiejszym meczem. Nie pytaj w , jakim programie”. Byłaś u licha jednym z naocznych świadków.

– Hassledorf, ja nie wiem, o czym ty mówisz...

– Scotty – zaczął cierpliwie – Wally ciebie cytował. Byłaś jednym ze świadków tej historii z Grantem. To dlatego kibice byli tak podzieleni: część znienawidziła Ouinna, część – Grania. Nie mów mi, że nie wiedziałaś... – zawiesił głos i obserwował ją ze zmarszczonymi brwiami. – No nie – powiedział w końcu. – Naprawdę nie wiedziałaś?

– Ale przecież nie było żadnej historii – tłumaczyła w osłupieniu. – Mycroft zgodził się niczego nie puszczać. Co powiedział Wally?

Hassledorf był zakłopotany. Zrozumiawszy, że Scotty o niczym nie wie, niechętnie rozwijał temat.

– No... miał jednego świadka, który widział, jak Grant zachowywał się w restauracji wczoraj wieczorem. Potem puścił jakieś twoje stare ujęcie. Wiesz, ty sama, stoisz przed Benton Arena z mikrofonem i on mówi, że ty też byłaś świadkiem. Miałaś słyszeć, jak Grant oświadczył, że Quinn każe im harować do zdechu, że współpraca z nim jest praktycznie niemożliwa.

Scotty poczuła mdłości. Zrobiła krok do tyłu i wsparła się o żelazną poręcz.

– Co jeszcze? – zapytała słabym głosem, przeczuwając, że to nie koniec.

– Powołując się na ciebie, zacytował oświadczenie Granta, że wcześniej nie pił ani nie brał narkotyków.

– No nie – jęknęła. Wyobrażała sobie wersję Wally’ego. Prawdopodobnie stwierdził, że Grant wybuchnął gniewem i oskarżył Quinna o nieuczciwe postępowanie, a potem zaprzeczył zarzutom świadków, że był pod wpływem alkoholu bądź narkotyków. Wally potrafił nadwereżyć reputację każdego, nurzając ją w gąszczu półprawd i przemilczeń.

Mocno ścisnęła poręcz.

– Czy Wally powiedział, że Grant wycofał się z zarzutów stawianych Jedowi? Że za wszystko przeprosił? I że Jed uwierzył Grantowi, gdy ten powiedział, że nie brał narkotyków?

– Nie. Powiedział tylko, że ty potwierdziłaś fakt postawienia zarzutów Quinnowi i że ktoś, w domyśle:

Quinn, odpowiedział oskarżeniem Granta o to, że jest pijany. ^

Stała przez chwilę czując, że arena jest wielkim, wirującym wokół niej pierścieniem. Nic dziwnego, że Jed patrzył na nią z taką nienawiścią. Wally wykorzystał wszystko, co powiedziała w obronie Jeda i obrócił to przeciw niemu i Grantowi dla wywołania skandalu.

– Hassledorf – głos jej drżał – chyba nie chcę robić wywiadu po meczu. Nie mogłabym mu spojrzeć w oczy.

Kamerzysta wydał z siebie pomruk zadowolenia i wziął ją pod ramię.

– Jak tu dotarłaś? Podrzucił cię ten idiota Hotboddy?

– Tak. – Zaczynała pojmować. Mycroft właściwie nie powiedział, że ukreści sprawie łeb. Obiecał jedynie, że ona nie będzie się tym zajmować. Potem wysłał ją na bezsensowną wycieczkę do Salem, a sam spreparował opowieść. Jed miał rację wczoraj wieczorem. On dostrzegł niebezpieczeństwo, a ona nie. Nie powinna była pisać słówkiem o niczym. Ostrzegał ją, cały czas ostrzegał, i miał rację. Mimowolnie sprzedała własną duszę. A cyrograf podpisała krwią Jeda i Hobie'ego Granta.

– Chodźmy stąd – burknął Hassledorf. – Odwiozę cię do domu.

Z wdzięcznością pozwoliła się zaprowadzić do służbowego samochodu. Na parkingu zatrzymała ich wysoka, samotna postać. Był to Hobie Grant. Nie mogła dostrzec jego twarzy w ciemności, ale wystarczyło, że usłyszała nabrzmiały bólem głos.

– Chciałem tylko pani podziękować. To wszystko kłamstwa, co pani o mnie mówiła. Kłamstwa. Wszystko zostało przekreśone. Różnimy się nieraz zdaniem z trenerem Ouinnem, ale myślę, że to równy gość. Pani to wie. Słyszała pani, jak mówiłem, że wszystko odwołuję. I niezależnie od tego, co zrobicie z moimi wypowiedziami, ja nie ćpam ani nie piję. A w pani relacji obaj wyszliśmy na strasznych ludzi. Więc dzięki raz jeszcze, wielkie dzięki.

Odwrócił się i po chwili zniknął w ciemnościach. Scotty odprowadziła go wzrokiem. Łzy zapiekły ją w oczy.

– No już, wskakuj – powiedział Hassledorf, otwierając jej drzwi.

Przez całą drogę do domu cicho płakała.

– Dajże spokój, dzieciaku – próbował ją pocieszać. – To nie twoja wina. Telewizja bywa brutalna. Wyjątkowo brutalna.

Rozdział 10

Nieszczęśliwa Scotty przebrała się w swoją najstarszą piżamę i weszła do łóżka z zamiarem wyplakania smutku w poduszkę. Nie powinna iść do Jeda, nie powinna dopuścić, by ją obejmował. Teraz pewnie myśli, że jest jedną z tych kobiet, które nie cofną się przed niczym dla zrobienia kariery.

Mycroft wykorzystał jej zaufanie, pozwalając Wally'emu wpleść jej stwierdzenia w sieć oskarżeń przeciwko Hobie'emu i Jedowi.

Przede wszystkim, myślała, nie powinnam zakochać się w Jedzie Quinnie. Jest geniuszem strategii, toteż od początku grał na uczuciach. Miał ochotę na jej ciało, ale charakter uważał za słaby i godny pogardy.

Jeden tylko czyn mógłby, choćby w części, uratować honor Scotty. Jutro pójdzie do biura Mycrofta i złoży rezygnację. Nie wiedziała tylko, z czego będzie żyć, gdy zostanie jej jedynie strzep honoru.

Gdy już prawie zapadała w sen, usłyszała, że ktoś dobija się do frontowych drzwi. Wstała, zapaliła nocną lampkę i narzuciła na siebie stary, szary szlafrok. Jej brat Bruno nazywał go „szczurzym przebraniem”. Rzeczywiście miał szczurzy kolor, ale był to prezent od Gam pa, więc nie miała serca go wyrzucić.

Rozchyliła zasłony i z niepokojem wyjrzała na zewnątrz. Tak jak się spodziewała, zobaczyła Jeda. Miał na sobie obszerną kurtkę, w której robił wrażenie większego i groźniejszego niż zazwyczaj. Z ociąganiem otworzyła drzwi.

– Wiem, co myślisz – zaczęła – i wiem, jak to wyglądało, ale ja nie...

Nie czekając na zaproszenie, wtargnął do środka.

– ... nie marnowałam czasu – dokończył za nią. W słabym świetle mogła jedynie dostrzec chłodny uśmiech, zmarszczone czoło i gniewnie ściągnięte usta. – Umiesz wykorzystywać kłopoty innych dla własnych korzyści, prawda? Jesteś ślicznym wampirkiem. Tuczysz się ludzką krwią.

– Ja nie chciałam...

– To ja pierwszy nie chciałem, żebyś zajmowała się Wilkami. Wykorzystałaś to dla zręcznej promocji własnej osoby i zyskałaś sporą popularność. Mówiłem ci, żebyś zapomniała o tym, co widziałaś wczoraj wieczorem, ale ty zrobiłaś z tego sensacyjny materiał. Nieodpowiedzialny i niszczący. Nawet gdy zemdłał biedny, stary Carruthers, zdołałaś to wykorzystać. Jak tego dokonałaś? Wsypanaś mu truciznę do kawy?

Ostatni zarzut był tak krzycząco niesprawiedliwy, że musiała zdobyć się na

protest.

– Zaraz, zaraz, to ty dosłownie wepchnąłeś mnie na miejsce Carruthersa, nie pamiętasz?

– Słyszałem, że się sprawdziłaś. Cóż za zaskoczenie. Nie doceniałem cię. Ale nadal mam cię za nędzną oszustkę. Jesteś tak samo bezwzględna jak oni wszyscy, ślicznotko. Sprzedałabyś każdego, żeby osiągnąć dziennikarski cel. Nawet takiego zagubionego dzieciaka jak Hobie Grant. Zadowolona?

– Nie jestem zadowolona! – krzyknęła. – Martwi mnie to tak samo jak ciebie. Nie przygotowałam tego materiału. Nawet nie wiedziałam, że robi to Wally Walltham. Nie powiedzieli mi prawdy.

– Nie winię cię za to – wysyczał cynicznie – że pozwoliłaś, by Wally odwalił brudną robotę. Nie winię cię także za to, że nie pokazałaś się po meczu. Po prostu jestem zdziwiony, że zastałem cię samą. A może nie jesteś sama? Czy masz w swej sypialni trenera drużyny piłkarskiej? Albo lepiej, piłkarza? Czy przyjmujesz nas na zmiany?

– Jak śmiesz...

Chwyił ją za ramiona, oczy mu płonęły.

– Nie, Morgan. Jak ty śmiesz? Jak daleko byś się posunęła zeszłego wieczoru, by pocałunkami i jękami zdobyć moje zaufanie? Nie wątpię, że do samego końca. Na swoje szczęście nie musiałaś. Ale teraz doprowadzę do tego, żebyś nie wywinęła się tak gładko i, jak Helena Schaffer, zapłaciła pełną cenę za swoje informacje.

– O czym ty mówisz? – zapytała, zdjeta gwałtownym lękiem. Po raz pierwszy czuła się przy nim prawdziwie zagrożona.

– Mówię o tym – wymruczał, nachylając się nad nią tak, by oczy mieli na tej samej wysokości – że chyba miałaś ochotę pójść ze mną do łóżka wczorajszego wieczoru, i to zanim uzyskałaś jakiegokolwiek informacji. Więc dlaczego by nie dziś, gdy twój głód został zaspokojony z naddatkiem? Naprawdę sprzedałaś świetną historię. Albo ja jestem tyranem, albo Grant alkoholikiem, albo jedno i drugie. Nie chcesz spłacić długów?

Raptownie przycisnął usta do ust Scotty. Zdumiało ją, że pocałunek był niemal ospały, łagodnie kuszący. Jego fałszywe pieszczoty sprawiały jej więcej bólu niż otwarty, palący gniew. Czuła się rozżalona i upokorzona, a jednak niezdolna, by mu się oprzeć. Wstyd przyznać, ale pragnęła go, choć jej nie zdobywał, tylko chciał kochać się z nią – szyderczo, chłodno, z wyrachowaniem. Dłonie Jeda powędrowały pod jej szlafrok. Przez bawełnianą piżamę czuła żar ich ciała,

złączonych w coraz mocniejszym uścisku.

– Jed... – wyszeptała rozpaczliwie. – Proszę... – Ze wszystkich rzeczy, które mógł jej zrobić, ta była najokrutniejsza. Panował nad nią i nad sobą, wymierzając jej ciału karę: piekielną tęsknotę.

Jego pocałunki stały się bardziej zaborcze, uciszając wszelkie prośby. Pieścił ją powoli, z tłumioną namiętnością; były to słodkie, intymne pieszczoty kochanka, a nie wyraz gniewu czy chęci upokorzenia. Dłonie Jeda obejmowały jej nabrzmiewające piersi z pewnością zdobywcy. Nie zdobywał Scotty siłą, uwodził ją z wypróbowaną wprawą i to budziło w niej więcej lęku i wstydu, niż gdyby próbował ją osiąść w chwili wściekłości.

Jego usta oderwały się od jej ust, przesunęły powoli w stronę szyi i ramion. Mimowolnie zadrżała i oplótła ramionami jego szyję. Chciała, żeby zrozumiał, że jej na nim zależy, że nigdy nie zamierzała go zdradzić, że nigdy świadomie by go nie zraniła.

– Jed, proszę...

– Proszę, powiadasz? Bo chcesz tego. Czy w tych zielonych oczach nie ma nawet odrobiny wstydu? Ale ja mówię: dziękuję, nie. Ja cię nie chcę, Morgan. Niech zlitują się nade mną niebiosa, jeśli kiedyś myślałem inaczej.

Wypuścił ją z rąk tak gwałtownie, że poczuła w sobie pustkę, bezradność, chłód. Owinęła się szlafrokiem, jakby stara tkanina mogła ją ochronić.

Przesunął palcami po wytartym kołnierzu szlafroka.

– Wkrótce z pewnością będziesz się lepiej ubierać. Wedrzesz się na szczyt. Jeszcze trochę ci brakuje do Heleny. Ona prawie zniszczyła trzech mężczyzn i wykończyła niewinną kobietę, więc przy niej jesteś amatorką. Utrudniłaś życie jednemu zagubionemu chłopcu. Ale to dobry początek, co? Dobranoc, Morgan. Niech twe piękne ciało idzie spać. Szkoda, że duszy to nic nie pomoże. – Odwrócił się od niej raptownie i kuśtykając poszedł do auta.

Wybiegła boso na ganek.

– Ja nie wiedziałam, że oni puszcza tę historię – krzyczała drżącym głosem. – Rozmawiałam z nimi tylko po to, by ich powstrzymać.

Otworzył drzwi auta i pomachał jej z ironią.

– Dzięki, Ewo. Już mi starczy tego jabłka. Oddaj je wężowi. – Z trzaskiem zamknął drzwi i odjechał.

Wężowi, pomyślała z goryczą. To Mycroft był smukłą, kołyszącą się kobra. Jed nigdy, przenigdy jej nie uwierzy.

Wgramoliła się z powrotem do łóżka. W jej poszarpanych snach pojawił się

ojciec, powtarzający, że od urodzenia jest skazana na porażki. We wszystkim, także w miłości.

Następnego ranka stanęła przed biurkiem Mycrofta w swojej starej, szarej, plisowanej spódnicy i zwykłej, białej bluzce. Nerwowo splótła dłonie.

– Tak? – zapytał Mycroft. Nawet powieka mu nie drgnęła.

– Wymawiam pracę z dwutygodniowym wyprzedzeniem. Odchodzę. – Mówiąc to, próbowała powstrzymać drżenie kolan. Przeciwiczyła uprzednio mowę do Mycrofta, w której wyrażała pogardę dla niego za manipulowanie informacjami. Teraz zamierzała ją wygłosić do ostatniego zjadliwego słowa.

– Tak, oczywiście odchodzisz. Będzie nam cię brakowało, Scotty. Quinn dał ci się we znaki, ale poradziłaś sobie wyśmienicie. A teraz odbierasz zasłużoną nagrodę. Gratulacje. Nie rób takich zdziwionych oczu – syknął, uśmiechając się jadowniczo. – Pan Poteau ma do ciebie słabość i właśnie postanowił przenieść cię do całodobowego kanału sportowego w jednej z jego stacji TV w Connecticut.

– Co? – Scotty myślała, że się przesłyszała. – Connecticut? – Nagle przypomniała sobie, że złożyła podanie o pracę w Connecticut. Ale wtedy chodziło o radio, a tu dostawała posadę w telewizji.

– Dzwonili do mnie wczoraj po południu. To jest spory awans i znacząca podwyżka pensji. Pan Poteau życzy sobie, żebyś złożyła dwutygodniowe wypowiedzenie tutaj, a potem zgłosiła się w Connecticut.

Czyżby próbował mnie podkupić? – zastanawiała się Scotty. To była wymarzona propozycja, ale jednocześnie podejrzana.

– Panie Mycroft – powiedziała stanowczo – odchodzę, bo nie chcę już dłużej dla pana pracować. Gdyby nie obowiązywało mnie wypowiedzenie, od razu bym stąd odeszła. Wstydzę się za to, co pan wczoraj zrobił i składam protest. Ja...

– Scotty, Scotty, Scotty – wyrzucił z siebie, wstając zza biurka i biorąc jej rękę między swe zimne dłonie.

– Nie unoś się. Świadomie przekazałaś nam informacje, które wykorzystaliśmy w programie. Jesteś tak samo winna. Jeśli nie podoba ci się sposób, w jaki to zostało załatwione, to nie przekonuj mnie o swej rzekomej moralnej wyższości. Powiedziałem, że pozwolę, byś zaistniała na ekranie i tak się stało. Nie obrażaj mnie tuż przed rozstaniem. To już tylko dwa tygodnie. Przykro byłoby mi powiedzieć panu Poteau o twojej niewdzięczności po wszystkim, co dla ciebie zrobił.

Znowu to samo, pomyślała. Wszystko staje na głowie, a ja nie wiem, jak się

zachować.

– Nie obchodzi mnie, kogo obrażam – wycodziła z zaciśniętymi zębami. – Gdybym mogła, jeszcze dziś zwolniłabym swoje biurko.

– Ale nie możesz. W kontrakcie jest zapisane, że obowiązuje cię dwutygodniowe wypowiedzenie i tego będę się trzymać. Dla twojego dobra. Nie chciałbym, żebyś zaprzepaściła tę niepowtarzalną okazję.

– Przykro mi, panie Mycroft, ale wydaje mi się, że nie powinnam już korzystać z uprzejmości pańskiej ani pana Poteau.

– Nie bądź głupia, Scotty – powiedział chłodno.

– Pan Poteau nie ma nic wspólnego z tym, co się wydarzyło tutaj. On o niczym nie wie. Siedzi w swej rezydencji, przelicza zyski i ogląda taśmy przysyłane mu przez stacje. Czasami postanawia być szczodry. Tak jest w twoim przypadku. Możesz okazać rozsadek i przyjąć te korzystną propozycje albo odejść stąd, jak rozkapryszone dziecko, i skrzywdzić jedynie samą siebie. Przejrzyj to i pomyśl, Scotty. Porozmawiam z tobą później, gdy już się opanujesz – podał jej jakiś dokument.

– Jestem opanowana – oświadczyła, ściskając papiery. – I mam nadzieję, że jeszcze jestem sobą. Ja...

Powstrzymał ją niecierpliwie ruchem dłoni.

– Dlaczego zaczęłaś tak nagle bronić Quinna? Jak na razie próbował cię cały czas ośmieszyć. Czy Wally ma rację? Zakochałaś się w tym facecie? Jeśli tak, to zachowujesz się jak amatorka, bezmyślnie i nieodpowiedzialnie.

Słowa Mycrofta zabolowały ją. Czy jest aż tak oczywiste, że kocha Jeda? Czy chciała rzucić pracę jedynie po to, by odkupić winę w jego oczach? Czy próbowała oczyścić siebie, zwalając całą winę na Mycrofta? Jed z radością powitałby jej wyjazd. Czy będzie choć na tyle rozsądna, by pojechać tam, gdzie ją chcą, gdzie może zarobić na życie, zamiast na złość mamie odmrażać sobie uszy?

– Przystuduj ofertę z Connecticut – poradził Mycroft, świadom jej problemu. – Zastanów się, zanim podejmiesz decyzję. Rozsądną decyzję. Mnie ani trochę nie obchodzi, co o mnie myślisz. Mnie interesuje zysk, a nie poglądy. Jeśli chcesz odmiany, to pan Poteau wyciąga do ciebie dłoń. I już nigdy więcej nie będziesz musiała na mnie patrzeć. Ani na Quinna. Z nas dwóch to jednak on wydaje mi się większym zagrożeniem dla ciebie. – Mycroft uśmiechnął się słabo.

Scotty wpatrywała się w niego ze zdumieniem. Miał rację. Musiałaby postradać zmysły, żeby odrzucać ofertę z Connecticut. Jed był dla niej większym zagrożeniem niż legion Mycroftów, ponieważ go kochała. Zapamiętała,

bezwstydnie, beznadziejnie.

Usiadła przy swoim biurku z bólem głowy. Przerzucając ofertę, zorientowała się, że warunki były bardzo kuszące. Pensja przekraczała jej najśmielsze wyobrażenia. Za dwa tygodnie mogła uciec z Fayetteville, uwolnić się od intryg Mycrofta, od Jeda. Zacząć od nowa, zostawiając za sobą wszystkie błędy. Jedyna cena, jaką musi zapłacić za to cudowne wyzwolenie, to konieczność pozostania jeszcze przez dwa tygodnie w Kanale 50. Powinna być szczęśliwa, czuć ulgę.

Czuła się jednak podle. Za żadne skarby nie chciała pracować dla Mycrofta, nawet przez dwa tygodnie, nawet przez dwie sekundy. Tylko że nie miała wyboru. A poza tym, dlaczego miałyby odrzucać ofertę pana Poteau, odpłacać mu za życzliwość czarną niewdzięcznością? Pan Poteau nigdy jej nie skrzywdził. Jeśli nie przyjmie tej propozycji, to jaki los ją czeka? Gdzie znajdzie podobną posadę?

Zadzwoił telefon. Z niechęcią podniosła słuchawkę, myśląc, że znowu jacyś ludzie z farmy drobiowej będą jej opowiadać o nowej, strasznej postaci grzybicy na łąkach kurczaków. Ze zdziwieniem usłyszała głos Lindy Precure, dyrektora stacji radiowej obsługującej mecze Wilków.

– Scotty, po pierwsze chcę ci podziękować. Twoje wejście na antenę wczoraj wieczorem było znakomite – odezwała się Linda swoim aksamitnym głosem. – Byliśmy bardzo zadowoleni. I wdzięczni, bo odwalilaś kawał dobrej roboty. Po drugie – ciągnęła – mam do ciebie prośbę. Carruthers ma się nieźle, ale nie wydobrzeje przed końcem tego sezonu koszykarskiego. Czy mogłabyś czasowo go zastąpić i być Głosem Szarych Wilków przez następne dwa tygodnie? Płaca jest co prawda symboliczna, ale wszyscy są zgodni, że świetnie sprawdzasz się w radiu.

Scotty zdrętwiała z wrażenia.

– Ja? – zapytała. – Ja mam być Głosem Szarych Wilków?

Linda roześmiała się serdecznie.

– Nie bądź taka wystraszona. Mówiłam ci, że spisałaś się świetnie. Carruthers pali się do powrotu, ale tymczasem potrzebujemy kogoś, i to bardzo. Co ty na to?

– Po prostu... brak mi słów. Jestem zdumiona, że taką fantastyczną propozycję składa się kobiecie.

– Skarbie, w naszej stacji nie ma przesądów. Byłam pierwszą kobietą-dyrektorem w okolicy i nie widzę powodu, dla którego kobieta nie miałaby obsługiwać transmisji z meczu.

Scotty przyjęła posadę. Przecież i tak jest spalona w Kanale 50, cóż więc ma do stracenia? Była zachwycona do chwili, gdy odłożyła słuchawkę i uświadomiła sobie, że występowanie jako Głos Szarych Wilków, choćby czasowe, oznacza

bliskość Jeda. Jak ona to zniesie?

Miała ochotę śmiać się i płakać jednocześnie. Spodziewała się, że będzie bezrobotna. Tymczasem miała dwie, równie kłopotliwe, oferty pracy. Jedna oznaczała czasowe zbliżenie z Jedem, druga – stałą z nim rozłąkę.

Poszła szukać Bertie. Zje z nią lunch – wtedy znajdzie pociechę i dobre rady.

Bertie próbowała poradzić sobie lewą ręką z olbrzymią kanapką. Prawą miała obandażowaną. Rano, podczas nagrywania „Farmy ciotki Bertie”, została pogryziona przez gburowate prosię. Trzymało ją paszczą, dopóki Hotboddy nie wylał mu na głowę puszkę coca-coli, ale wtedy pogryzło jego. Dostał napadu hysterii i musiał zwolnić się z pracy na resztę dnia. Bertie zachowała spokój.

– Connecticut bardzo mi się podobało – mówiła, próbując wepchnąć do kanapki wypadający liść sałaty. – Kiedyś kierowałam tam letnim teatrem. Wspaniałe miejsce.

– To rewelacyjna oferta – przyznała Scotty, skubiąc bez apetytu grzanekę. – Ale chciałabym już dziś pokazać plecy Mycroftowi i nie oglądać się za siebie.

– Mycroft – prychnęła Bertie. – Trudno cię winić. To, co zrobił, było obleśne. Sama bym stąd odeszła, gdyby nie pewność, że zostanie awansowany. Po prostu nie myśl o nim. Dwa tygodnie i już jesteś w Nowej Anglii.

– Wiem, tylko że... – przerwała i odłożyła zjedzoną do połowy grzanekę. Chciała dodać: tylko że ja nie chcę wyjeżdżać z Fayetteville. Cóż... Jed nie zaakceptuje jej w roli Głosu Wilków nawet przez dwa tygodnie. Nie chce, żeby była jakkolwiek związana z zespołem. W ogóle jej nie chce.

– To Quinn, prawda? Lubisz go? – Bertie odłożyła kanapkę. – Kochanie, reguła numer jeden w życiu: Nie rozbijaj serca o niepokonane rafy. To nie wyjdzie. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Ciężyło to na sercu Scotty jak marmurowa płyta na grobie.

– Skarbie – powiedziała Bertie najłagodniej jak potrafiła. – Wiem, że Mycroft wbił ci nóż w plecy. U nas w stacji musieli wiedzieć o tej niechęci Quinna do reporterek. Zapewne świadomie wykorzystywali cię od początku, chcąc go na czymś złapać i licząc na dużo szumu. To się musiało w ten sposób skończyć. Teraz masz szansę, by o wszystkim zapomnieć. Ty tego nie chciałaś, więc idź naprzód, myśl o własnym życiu.

Scotty skinęła głową. W jej piersi wzbierała głucha rozpacz. Bertie podniosła kubek z kawą w żartobliwym toaście.

– Za pana Poteau, wielkiego dziwaka, i za wspaniały stan Connecticut.

Zapewniam cię, że nie będziesz tam musiała pracować z kobietą, która bywa kāsana przez świnie.

– Tak się składa, że lubię z nią pracować. – Scotty uśmiechnęła się zyczliwie i stuknęła się kubkiem z Bertie. Za Connecticut, pomyślała ponuro, za tysiąc mil dzielących ją od Jeda Quinna. Za zdrowy rozsądek. Za zmianę. Za ucieczkę. Tylko jak można uciec od prawdziwej miłości rozpalającej serce? Jak można zapomnieć o parze kpiących, błękitnych oczu o lodowatym spojrzeniu, pięknym, przekornym uśmiechu i przekrzywionym krawacie?

Tego popołudnia zadzwonił dyrektor stacji z Connecticut, przedstawiając się jako Harold Laffberger. Był rozmownym, sympatycznym mężczyzną, diametralnie różnym od Mycrofta.

– Jeśli pan Poteau tak mówi, to wiem, że jesteś dobra – usłyszała gardłowy głos. – Staruszek jest ekscentrykiem, ale oko na talenty to on ma. No i jakie jest twoje zdanie? Znasz nasze warunki. Przyjmujesz ofertę? Czy potrzebujesz jeszcze czasu do namysłu? Co?

Nie, nie potrzebowała czasu do namysłu. Rada Bertie była gorzka jak wszystkie dobre lekarstwa, ale jedynie słuszna.

– Chcę dla was pracować – powiedziała i przełknęła ślinę.

– Brawo, dziewczyno. I kup sobie ciepłą bieliznę. Bo tutaj, powiadam ci, jest raczej chłodno. Nie to, co na Południu.

– Mnie zimno nie przeszkadza – skłamała. Właściwie co za różnica? I tak czuła, że przenika ją chłód.

– Słyszałem, że miałaś na pieńku z Kowbojem Quinnem. On jest katem dla dziennikarek. I ty go przetrzymałaś?

– Przetrzymałam – odparła wiedząc, że jest inaczej. – Ta Schaff er... zwykła dziwka, przepraszam za sformułowanie. Powiedziałem panu Poteau: prędzej zostanę treserem węży, niż zatrudnię nową Helenę Schaff er. Mówi, że ty jesteś inna. Że masz w sobie dumę. I zarazem łagodność. Wierzę mu. Słyszę to w twoim głosie. Dzięki Bogu.

– Myślałam... że ona cieszy się szacunkiem – bąknęła.

– Tych, którzy jej nie znają. Sprzedałaby własną matkę za dobry materiał. Sprzedała Quinna. Nie znasz tego horroru?

Nie, pomyślała zmieszana, znam właściwie same plotki.

– Nie znam szczegółów – odparła ze sztuczną brawurą, na którą często musiała się zdobywać jako dziennikarka. – Odczułam tylko na własnej skórze rezultaty.

Proszę, oświeć mnie.

– Pamiętasz sprawę Tony’ego Stromboli?

– Tak – odpowiedziała, marszcząc czoło. Chodziło o skandal z kupowaniem meczów, który wstrząsnął wschodnim wybrzeżem parę lat temu. Podejrzewano, że za wszystkim kryją się wpływy mafii. Stromboli został zamieszany w sprawę, bo prasa podała, że jego żona Maria jest siostrzenicą jakiegoś drobnego mafiosa. Kolega z zespołu i przyjaciel Tony’ego, Maxwell Washington, został również objęty dochodzeniem ze względu na bliskie związki z podejrzanym. Obu, co prawda, oczyszczono z zarzutów, ale same podejrzenia okryły ich niesławą. Dwie kariery zostały niemal doszczętnie zniszczone. Rozpadło się małżeństwo Washingtona, on sam przeszedł załamanie nerwowe. Tony Stromboli zapłacił jeszcze wyższą cenę. Jego żona zmarła w tajemniczych okolicznościach. Oficjalnie nie stwierdzono samobójstwa, ale wszyscy je podejrzewali. Maria nie umiała pogodzić się z cierpieniami, jakich przysporzyła Tony’emu i Washingtonowi.

– Brzydka sprawa, zupełnie niepotrzebna – powiedział Laffberger. – Stromboli i Washington nie powinni byli stawać przed sądem. I nie stanęliby, gdyby ktoś nie ujawnił ich czysto przypadkowych powiązań ze światem przestępczym. Potem każde doniesienie prasowe o wyczynach wujka Marii było kolejnym gwoździem do trumny Stromboli i Washingtona. To Helena Schaffer ujawniła te kłopotliwe powiązania. Maria nawet nie wiedziała, że jej wujek pracował dla mafii. Myślała, że jest producentem szaf grających. Nic dziwnego, że to ją zabiło.

– I Quinn nigdy nie wybaczył Helenie? – Scotty z góry знаła odpowiedź.

– Wybaczyć jej? – Zaśmiał się Laffberger. – Powinien był ją zastrzelić. Mieli się pobrać, mieszkali razem. Stromboli, dobry kumpel Jeda, zadzwonił do niego z prośbą o radę, jak przygotować Marię na przyjęcie złych wiadomości. Zastanawiał się, kiedy powinien to publicznie ujawnić. Jed poradził mu, żeby najpierw powiedział wszystko Marii, zorientował się, czy zdoła to przetrzymać. Plotka głosi, że Helena podsłuchiwała rozmowę przez drugi telefon. Zawodnik z mafijnymi powiązaniem? Tak, to była historia, o jakiej marzyła przez całą karierę. Och, urządziła ich wszystkich na perłowo! Gdy wydała Tony’ego, Jed natychmiast wyniósł się od niej. Był cholernie wściekły, jechał za szybko i rozbił samochód o latarnię. Musiał iść do szpitala ze świadomością, że jego kariera skończyła się, i patrzeć, jak prasa nie zostawia suchej nitki na jego przyjaciółach i wpędza Marię do grobu. Pytam: czy można go winić za to, że teraz nie dowierza pięknym reporterkom?

– Nie – odpowiedziała Scotty. Zaszło jej w ustach, a dłonie zwilgotniały. Nic

też dziwnego, że po tym, co nieświadomie zrobiła Hobie'emu Grantowi, Jed jej nigdy nie przebaczy.

– Gdyby ona pracowała dla mnie – zaklinał się Laffberger – wylałbym ją na zbity pysk. Powiadam ci, ja nie toleruję takiego postępowania. Oczekuję od reporterów uczciwości i odpowiedzialności. Mam niewzruszone zasady.

W jego głosie pobrzmiwała dobroć, łagodność, uczciwość. Scotty uświadomiła sobie, że praca dla niego byłaby szczęściem. Ale gdy odłożyła słuchawkę, wcale nie czuła się szczęśliwa.

Tak, ilekroć odezwie się dawny uraz, Jed będzie wspominać kobietę, która ukochała karierę bardziej niż jego, długie miesiące w szpitalu, kres zawodowej kariery, śmierć niewinnej osoby. Byłby oczywiście zadowolony, gdyby ona, Scotty, pojechała do Connecticut. Nie może go za to winić. Nie powinna przyjmować tej oferty z radia, nawet na krótki czas. Powinna usunąć mu się z drogi.

Rozdział 11

Przed kolejnym meczem Szarych Wilków Scotty poszła do szpitala zobaczyć się z Fredem Carruthersem. Słyszała, że zdrowieje w imponującym tempie i bardzo się z tego cieszyła. Zniosła mu bukiet goździków w oryginalnym flakonie o kształcie miniaturowej piłki futbolowej. Ostatnią osobą, którą spodziewała się zastać w szpitalu, był Jed Quinn. Siedział na skraju łóżka Carruthersa i grał z nim w karty.

– Romeo – powiedział śmiejąc się Fred – nie uwierzysz, ale jest tutaj twoja Julia.

Jed niecierpliwym ruchem rozłożył swoje karty.

– Piętnaście to dwa, piętnaście to cztery i para to sześć. Wygrywam. Pójdę już sobie, Fred. Powinieneś odświeżyć swoją znajomość Szekspira. To nie jest Julia. To młoda lady Makbet.

– Ależ z ciebie uparty osioł. Scotty to miła dziewczyna.

Kiedys może tak, pomyślała z goryczą.

– Do zobaczenia, Fred. Wpadnę jutro. – Quinn zbierał się do wyjścia.

– Znowu chcesz mnie ograć, ty karciany rekinie? Jestem chory. Mógłbyś przynajmniej pozwolić mi wygrywać. Dobrze już. Dzięki, że przyszedłeś i dzięki za partyjkę. Pozdrów drużynę.

– Zrobię to. – Jed położył talię kart na nocnym stoliku, obdarzył Scotty morderczym spojrzeniem i wyszedł z pokoju salutując.

– Przepraszam – bąknęła Scotty. – Nie wiedziałam... Nie chciałam wywoływać sceny.

– Fred skrzywił się i machnął ręką na jej przeprosiny. W przyciasnym szpitalnym szlafroku robił wrażenie, jakby miał same piegi i kości. O przebyłym ataku świadczyło tylko lekkie ściągnięcie kącika ust i nieznaczne obwiśnięcie jednej połowy twarzy. Z mową nie miał żadnych problemów, co dla człowieka żyjącego ze swojego głosu było błogosławieństwem.

– Siadaj – nakazał stanowczo. – Postaw swój bukiet tam, obok innych. Sympatyczny pomysł, ale dlaczego nikt mi nie przyniesie butelki burbona?

Uśmiechnęła się i postawiła goździki. Zauważyła, że inni też kupili je we flakonach-piłkach. Była ich cała półka.

– Jak się miewasz? – zapytała, siadając na niewygodnym, plastikowym krześle.

– Wyglądasz świetnie.

– Wyglądam jak pajac w tym szpitalnym szlafroku – poprawił ją. – Nie mówmy zresztą o moim zdrowiu. Ja mam się dobrze. A ty? Słyszałem, że znakomicie się spisałaś jako moja zastępczyni. Ale masz na pieńku ze swoim chłopakiem, niepokonanym kowbojem.

– Trudno nazwać go moim chłopakiem. Myślę, że ucieszyłby się, gdyby powieszono mnie za szyję na koszu.

– Nie możesz się temu dziwić – odparł łagodnie Fred. – Słyszałem, że nadużyłaś jego zaufania.

Nie mówił tonem cenzora, ale jak ktoś stwierdzający fakt.

– Próbowałam nie dopuścić, by sprawa przedostała się na antenę – odpowiedziała cicho.

– Wiem to od Hassledorfa; był tutaj wczoraj wieczorem. Ale mówię ci: o Grancie znowu będzie głośno, jeszcze zanim ta sprawa przycichnie.

– Co masz na myśli? – zapytała zdziwiona Scotty.

– Dla Hobie’ego Granta to zamieszanie to dopiero pierwszy rozdział. Słyszysz różne plotki, nawet w miejscu takim jak to. – Tajemniczo rozejrzył się po szpitalnym pokoju.

– Jakie plotki?

– Po prostu plotki – powiedział tak, że Scotty zaczęła się zastanawiać, czy czegoś przed nią nie ukrywa. – Słyszałem też, że nas opuszczasz. Dokąd jedziesz? Do Massachusetts?

– Do Connecticut – poprawiła go z uśmiechem. – Sporo wiesz, jak na kogoś unieruchomionego w szpitalnym łóżku.

– Jestem przede wszystkim dziennikarzem, dopiero potem pacjentem. Cieszę się, że dasz sobie spokój z tym Mycroftem. Kto z kim przestaje, takim się staje. Powinnaś jednak zostać w okolicy. Może pojawiłaby się jakaś szansa. Mówią o tobie, że jesteś urodzonym sprawozdawcą, że to rzadki dar. Jeśli tak, to nic po tobie w TV. Stać cię na więcej niż wdziękzenie się do widzów przy podawaniu wyników rozgrywek.

– Nie mów mi, że się wycofujesz, Fred. Ani ja, ani nikt inny w to nie uwierzy.

– Ja? Wycofywać się? Nigdy. – Zaśmiał się. – Niecałkowicie. Ale dlaczego ty nie pomyślałaś o radiu?

– Och, myślałam o tym, Fred. Ale jakoś nigdy nie trafiłam na swoją szansę. Coś ci wyznam. Złożyłam podanie o pracę w stacji radiowej w Connecticut, ale w zamian dostałam ofertę z tamtejszej stacji telewizyjnej pana Poteau.

– Zawsze myślałem, że masz w sobie coś wyjątkowego. Jeśli zostaniesz w

telewizji, ciągle będziesz łądować się w sprawy takie jak ta z Grantem. A chyba się do tego nie nadajesz. Natomiast robienie bezpośrednich transmisji w radiu – to jest dopiero wyzwanie! Nie ma nic ciekawszego niż radio, Scotty.

– Jesteś niepoprawnym fanatykiem radia. – Uśmiechnęła się, poruszona jego życzliwością i intuicją.

– Posłuchaj, Panienko z Ekranu – powiedział, wyprostowując się na poduszkach. – Pozwól, że opowiem ci coś o radiu...

Zajął mu to równą godzinę. Scotty ani przez chwilę się nie nudziła. Carruthers przypominał jej Gampa.

Kiedy skończyła się pora odwiedzin, Scotty z czułością uściśniła jego dłoń. Obiecał, że wysłucha jej relacji z meczu Wilków.

– Tak jak mówiłem – powtórzył – ta historia z Grantem jeszcze nabierze nowych rumieńców.

– Co masz na myśli, Fred? – zmarszczyła brwi.

Ale on nic już nie powiedział.

Także Jed Quinn zachowywał irytujące milczenie. Odwołał wszystkie przedmeczowe spotkania z dziennikarzami. Wydał jedynie, poprzez swego asystenta, jedno krótkie oświadczenie: odsunięcie Hobie'ego Granta od rozgrywek jest bezterminowe. Fani Wilków byli oburzeni. Zbyt wielu świadków zgodnie twierdziło, że pamiętnej nocy Grant z pewnością nie był pod wpływem alkoholu ani narkotyków. Ustalił się pogląd, że Jed nie umiał przebaczyć chłopcu młodzieńczej zapalczywości.

Kibice byli wściekli.

W dzień występu przed radiowym mikrofonem Scotty znów rozważała swoją decyzję o zastępowaniu Carruthersa. Wiedziała, że to ryzykowne, ale było już za późno, by się wycofać. Wilki grały dziś poza granicami stanu, na Uniwersytecie Muldoon w Oklahomie. Do tej pory nie bywała na spotkaniach wyjazdowych, ale teraz, jako sprawozdawca radiowy, była do tego zobowiązana.

Był to ważny mecz dla Jeda i dla zespołu. Gdyby wygrali, nikt nie odebrałby im już mistrzowskiego tytułu. Gdyby przegrali, mieliby tyle samo punktów co St. Elmo i sprawa tytułu rozstrzygnęłaby się w jednym gorącym meczu na boisku St. Elmo. Scotty wołała nie myśleć o tej drugiej ewentualności.

Grant, zgodnie z zapowiedzią Jeda, siedział na ławce. Jak długo jeszcze będzie trwała ta wojna nerwów, zastanawiała się Scotty, i jaką cenę zapłaci za to drużyna, tak nieustępliwie walcząca przez cały sezon?

Decyzja Jeda była dla niej równie niezrozumiała, co dla wszystkich. Jeśli Hobie mówił prawdę, i po prostu poniosły go nerwy, to za co Jed go tak surowo karał? Czuła się głęboko zatroskana losem chłopca.

Po cichu modliła się o kolejną wygraną. Przecież w poprzednim meczu Wilki odniosły zwycięstwo, grając bez Grania.

A jednak Wilki przegrywały. Zespół się nie oszczędzał, ale do szczęścia zabrakło dwóch punktów. Hobie Grant przesiedział cały mecz na ławce. Gdy wybrzmiał sygnał kończący spotkanie, położył głowę na kolanach i, jak zdawało się Scotty, ledwo powstrzymywał się od płaczu. Pojedynczy fani Wilków, którzy przybyli do Oklahomy, nie ukrywali swojej dezaprobaty dla Jeda. Domagali się, by skończył z przesładowaniem ich ulubionego zawodnika, przestał się go czepiać, by myślał o zespole. Niektórzy obrzucali nawet ławkę Quinna pustymi pudełkami po popcornie i kubkami po napojach. Jed nie zwraca! na to uwagi, starał się natomiast dodać otuchy swoim rozgoryczonym zawodnikom, którzy właśnie zbierali dresy i schodzili z boiska. Pomógł Hobie'emu wstać z ławki i, obejmując go ramieniem, poszedł z nim do szatni. Nie wyglądali na wrogów. Raczej jak dwóch ludzi toczących samotny bój.

Scotty nie wiedziała, co o tym myśleć. Przypomniała sobie lakoniczne stwierdzenie Freda Carruthersa, że sprawa Granta szybko się nie skończy i nabierze jeszcze rozgłosu. Co tu jest grane i przez kogo? – zastanawiała się.

Ekipa radiowa pakowała się chaotycznie. Wszyscy byli pod wrażeniem zawodu, jaki sprawił im ukochany zespół. Scotty, ciągle czując gorzki smak porażki, wstała i zaczęła się przechadzać wzdłuż pustego boiska. Machinalnie kopnęła jakiś papierowy kubek.

Jeszcze zanim ujrzała Jeda, wyczuła, że się do niej zbliża. Był bez krawata, koszulę miał rozpiętą pod szyją, kosmyk włosów opadał mu na oczy. Złapał ją za łokieć i obrócił w swoją stronę. Nieomal rozlała wodę z kubka.

– Musiałaś być w siódmym niebie dziś wieczorem, co? Mogąc donieść słuchaczom o naszej porażce – mówił z gorzką ironią.

– Nieszczególnie – odparła, próbując wytrzymać palące spojrzenie. Zauważyła wielkie napięcie w jego twarzy.

– Słyszałem, że należą ci się gratulacje – powiedział, cedząc każde słowo. – Zostałaś w nagrodę przeniesiona do Connecticut. Ty i Helena na Wschodnim Wybrzeżu. Coś takiego. Wasze połączone ambicje chyba wytrąca kontynent ze stanu równowagi.

Bolały ją jego zarzuty, dłoń wrzynała się w ramię jak rzemień. Cokolwiek

robiła, było w jego oczach złe.

– Wyjeżdżam, żeby się od ciebie uwolnić – powiedziała przez zęby. – Jeśli o mnie chodzi, Wschodnie Wybrzeże ma jedną wielką zaletę: ciebie tam nie ma.

– Jak ty to robisz? Skąd ten wyraz zbolalej niewinności w twoich oczach? Nie powinnaś zajmować się sportem, powinnaś występować na dużym ekranie. Niezła z ciebie aktoreczka, Scotty.

– Czy ty uważasz, że ja chciałam brać udział w nagonce na Hobie’ego Granta? Nie chciałam.

Drugą ręką chwycił ją za wolne ramię i przyciągnął do siebie szorstkim, zdecydowanym ruchem.

– W takim razie mam nadzieję, że modlisz się, ślicznotko. Lepiej zrobisz, jeśli pomodlisz się za tego dzieciaka. Wyrządziłaś mu sporą krzywdę. Większą, niż myślisz.

– Ale o co chodzi? – zapytała z rozpaczą, próbując wyrwać się z żelaznego uścisku, znaleźć jakieś wyjaśnienie w lodowatych oczach. – Kibice byli gotowi cię zlinczować. Co się dzieje?

Ściągnął groźnie brwi.

– Myślisz, że ci powiem? Mylisz się, skarbie. Ale powiem ci coś innego. W pewnym sensie rozczarowałaś mnie bardziej niż Helena Schaffer. Ona nigdy nie udawała, że jest kimś więcej niż piękną, zepsutą kobietą. Powodzenia w Connecticut. Idźże z Bogiem! Nie mogę uwierzyć, że kiedyś coś w tobie widziałem.

Powrót do Fayetteville dłużył się jej nieznośnie, a jeszcze gorsza była noc, która potem nastąpiła. Gdy przywlokła się następnego dnia do pracy, została hałaśliwie powitana przez Wally’ego Wallthama. Rzucił słuchawkę i uśmiechnął się do Scotty. Od chwili, gdy dowiedział się, że ona wyjeżdża, promieniał szczęściem.

– Wybieraj się do Benton Arena. – To polecenie wydał z wyraźną satysfakcją.

– Dlaczego? – Scotty poczuła lęk.

– Ponieważ Hobie Grant właśnie opuścił szkołę – wyszczebiotał triumfalnie. – A to oznacza, że i Wilki, i Quinn są w niezłych tarapatach.

Grant wyjechał? Czowała się tak, jakby ktoś zadał jej cios w samo serce. Czy to jej wina?

– Dlaczego wyjechał? – zapytała drżącym głosem.

– Nikt nic nie mówi. Wygląda na to, że sprawa sporu z Quinnem. Nie dopuszczał go do gry, więc Grant po prostu wyjechał. Fani będą chcieli głowy

Quinna. Więc jedź tam.

Scotty poszła szukać Hassledorfa. Obawiała się spotkania z Jedem. Jeśli Hobie Grant rzucił szkołę, to przecież część winy była po jej stronie. Jaką karuzelę szalonych zdarzeń wprawiała w ruch, gdy usiłowała przekonać Mycrofta, by nie zajmował się sprawą Hobie'ego Granta? Intuicyjnie podejrzewała jednak, że za wyjazdem Granta kryje się coś więcej niż tylko spór z Quinnem.

Gdy weszli z Hassledorfem do Benton Arena, w powietrzu wyczuwało się napięcie. Duff Freely z Kanału 37 dosłownie wpadł na nią, wychodząc właśnie z budynku.

– Szkoda czasu, panienko. – Machnął jej przed nosem powielonym oświadczeniem. – Quinn milczy.

Osobiście dołożę starań, by załatwić drania. Za długo wodzi mnie za nos. Napiszę felieton, w którym tak go obsmaruję, że się nie podniesie.

Wyminął Scotty i poszedł w stronę służbowego samochodu. Powiodła za nim wzrokiem. Jeśli Jed nie zacznie mówić, kibice będą wściekli na niego bardziej niż kiedykolwiek. Będą domagali się odpowiedzi na pytanie, gdzie się podziewa ich ulubiony i najwartościowszy w zespole zawodnik, gdy ważą się losy mistrzostwa.

Razem z Hassledorfem udała się do biura Quinna. Sekretarka, oblegana pewnie nieustannie, nawet nie podniosła na nich oczu. Rzuciła na biurko jedną z powielonych kopii.

– Tu jest oświadczenie pana Quinna – powiedziała, wzdragając się na odgłos dzwonka telefonu. – Trener nie przyjmuje dziś dziennikarzy.

– W porządku, Margaret. Zrobię wyjątek dla pięknej, jak zwykle, panny Morgan. – Jed stanął w drzwiach, opierając się o framugę. Włosy miał zwichrzone, a twarz nieco zmizerowaną. Wyglądał jakby w ogóle nie spał w nocy. Scotty poczuła idiotyczną chęć, by poprawić mu przekrzywiony jak zawsze krawat.

Margaret zakryła dłonią słuchawkę.

– To znowu ta gazeta z Little Rock. Chcą osobistej wypowiedzi. – Sekretarka także robiła wrażenie wykończonej.

– Powiedz im: „Bez komentarza”. – Jed wsadził ręce do kieszeni i patrzył na Scotty.

– Już im mówiłam. Trzy razy. Dzwonią bez przerwy.

– W takim razie powiedz im, żeby sobie przemyli uszy – mrukną) i ruchem ręki zaprosił Scotty, by weszła do pokoju.

Siadł na brzegu biurka, podniósł piłkę do koszykówki i zakręcił ją na palcu wskazującym.

– Witamy w cyrku – powiedział, kładąc piłkę na biurku.

– Co się tu dzieje? – zapytała, przyglądając się grze mięśni na jego twarzy. – Dlaczego Grant wyjechał?

– Wszystko jest napisane w oświadczeniu. Z powodów osobistych – odparł sarkastycznie, nie spuszczać z niej wzroku.

– Czy jego wyjazd ma związek z panem? – zapytała, słysząc cichy szmer kamery Hassledorfa.

– Być może. Jeśli ludzie tak sądzą, to niech i tak będzie.

Przez chwilę zbierała myśli. Przełknęła ślinę.

– Czy powodem są osobiste nieporozumienia między panem i Grantem?

– Powody osobiste to powody osobiste. Jeśli ludzie szukają winnego, zgadzam się nim zostać.

Scotty nie chciała, by te słowa szły na antenę. Jed bierze całą winę na siebie, a jego zaczepność z pewnością nie pomoże sprawie. Cały stan uzna go za winowajcę, z wyjątkiem drobnej mniejszości, która nadal sądzi, że Hobie Grant jest niezrównoważony albo ukrywa inną, złą cechę osobowości.

– Czy między panem a Grantem doszło do sprzeczki po ostatnim meczu? – spytała, pamiętając jednak, że Jed szedł z nim do szatni pod ramię i że nie robili wrażenia poróżnionych, raczej złączonych dziwną, głęboką więzią.

– Bez komentarza – odpowiedział niewzruszenie. – Wszystkim nakazałem milczenie.

– Milczenie w sprawie Granta czy meczu?

– W obu.

– Czy porażka we wczorajszym meczu wpłynęła jakoś na decyzję Granta? – sondowała nadal.

– Bez komentarza. Wywiad skończony. Hassledorf wyłączył kamerę.

– Po co godzisz się na rozmowę, jeśli nie masz nic do powiedzenia?

– Przypuszczam, skarbie, że ludzie zechcą mnie powiesić. A o ile znam twoją stację, będziecie pierwszymi, którzy podjudzą tłum. Idź i zacznij zawiązywać pętlę. Mycroft ci pomoże!

– Postępujesz tak, jakbyś chciał, żeby ludzie pomyśleli, że odepchnąłeś Hobie'ego Granta. Myślę, że to nieprawda... – pominęła jego napaść.

Otworzył drzwi odrobinę szerzej, dając do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszej rozmowy.

Scotty i Hassledorf w milczeniu udali się do samochodu. W drodze Scotty snuła niewesołe rozmyślenia. Wiedziała, że jej wywiad z Quinnem bardzo mu zaszkodzi.

Wyszedł w nim na zimnego drania. A przecież jest zupełnie inny. Do czego on zmierza? Weszła do biura i usiadła przy swoim biurku, ogarnięta lękiem i z wątpieniem. Wally'ego, na szczęście, nie było. Myślała jedynie o tym, by zażyć aspirynę.

Bertie wsadziła głowę do pokoju.

– Fred Carruthers chce, żebyś odwiedziła go w szpitalu – powiedziała. – To nie brzmiało jak zaproszenie, raczej jak władczy rozkaz. Musi czuć się lepiej, stary zrzęda.

Scotty podziękowała jej za informację. Czego, u licha, chciał Fred? Zerknęła na zegarek. Choć była prawie pora lunchu, nie czuła się głodna. Pora odwiedzin przypada wprawdzie na popołudnie, ale może uda jej się jakoś prześlizgnąć obok dyżurnej siostry. Założyła kurtkę i wyszła, ciągle poruszona determinacją, jaką wyczytała z oczu Jeda.

Fred powitał ją szerokim uśmiechem.

– Jak tu się dostałaś o tej porze? Zwykle nikogo tak wcześnie nie wpuszczają. Pewnie uważają, że skoro atak mnie nie zabił, to może nuda da mi radę.

Wyglądał dziś znacznie zdrowiej, nabrał kolorów. Miliony piegów nie odcinały się tak jaskrawo na tle skóry.

– Psyt. – Scotty przyłożyła palec do ust, jakby chodziło o wielką tajemnicę. – Jestem twoją nową siostrzenicą.

– To nie wstyd mieć cię w rodzinie. Słuchałem wczoraj transmisji z meczu. Popisałaś się, choć jesteś tylko kobietą.

– Proszę, Fred, przynajmniej ty nie mów, że jestem tylko kobietą – napomniała, wyraźnie jednak zadowolona z pochwały.

– Siadaj, siadaj – niecierpliwił się, wskazując jej krzesło. – Wiem, że dziś kobiety potrafią robić prawie wszystko, i to w dodatku dobrze. Ty jesteś dowodem. Przy tobie czuję, że już czas, bym wybrał się na niebieskie pastwiska. – Przerwał. – Widziałaś się dziś z Quinnem w sprawie Granta?

Scotty przytaknęła, niepewna co ma powiedzieć.

– Jaki jest jego komentarz do całej tej historii? Wzruszyła ramionami.

– Komentarz brzmi: „Bez komentarza”. Udzielił mi wywiadu, który tak naprawdę nadaje się do kosza. Właściwie zachęca wszystkich, by obwiniali go za wyjazd Hobie'ego Granta.

– Tak myślałem. To w jego stylu – powiedział Fred, przypatrując się jej.

– Co to znaczy?

– Znaczy, że on osłania Granta – odparł Fred z wystudiowaną nonszalancją. – Chroni tego dzieciaka.

– Chroni przed czym? – Serce Scotty zaczęło bić szybciej. – Fred – zaczęła z namysłem – czy z Grantem dzieje się coś niedobrego?

– Tak. Coś niedobrego. – Wyraźnie posmutniał. – A to jeszcze dziecko. Dziecko, na miłość boską.

– To znaczy, że on jest chory? – zapytała ze wzrastającą pewnością.

Fred smutno pokiwał głową.

– Jak poważnie?

– Bardzo poważnie. I boi się, bardzo się boi. Jest przy tym dumny. Nie chce, żeby ktoś się o tym dowiedział.

– Więc Jed bierze wszystko na siebie? Pozwala ludziom myśleć, że to on jest przyczyną wyjazdu Grania. W ten sposób nikt nie zna prawdy – powiedziała Scotty.

Fred wydał z siebie ciężkie westchnienie.

– Jak mówiłem, Hobie jest pełen obaw i dumy. Nie życzy sobie niczyjej litości. Quinn ściąga uwagę na siebie. Uważa chyba, że jemu łatwiej wytrzymać tę presję niż Hobie’emu.

– Fred, dlaczego ty mi to wszystko mówisz? Wzruszył ramionami i trzasnął palcami.

– Powiedzmy, że to przysługa. Powiedzmy, że w ten sposób odpłacam ci za zastąpienie mnie w krytycznej chwili. Albo inaczej: lubię Quinna, a nie chcę, żebyś stąd wyjeżdżała, mając o nim mylne zdanie. Oczywiście, to są wiadomości tylko dla ciebie.

Potaknęła, czując się oszołomiona i bezradna.

– Quinn to równy gość, Scotty – powiedział, patrząc na nią. – Wiem, że zgotował ci prawdziwe piekło, ale to dobry człowiek, niezwykły człowiek.

– Wiem – odparła.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Na odchodnym pocałowała go. Potem poszła do szpitalnej kaplicy i pomodliła się za Hobie’ego Granta.

Rozdział 12

Tydzień poprzedzający mecz o tytuł mistrzowski był okresem nieustających, ostrych ataków na Quinna. Prasa ochrzciła go mianem nieustępliwego egoisty, który pozbył się najlepszego zawodnika. Fani pomstowali: „Przez Jeda utracimy tytuł”. Wychowankowie College’u St. Thomasa też nie posiadali się ze wzburzenia. Jeśli nie umie dogadać się z drużyną, powinien zostać wylany.

Kanał 50, pod kierownictwem Mycrofta, dopingował do nagonki. Scotty zawzięła się i wytrwale odmawiała wygłoszenia przed kamerą komentarza, obrzucającego Jeda błotem.

– Odwaliłam już dość brudnej roboty – powiedziała Mycroftowi z nietypową dla siebie żółcią. – Co ma pan zamiar ze mną zrobić, zwolnić mnie? Niech pan Poteau dowie się, że nie można ze mną współpracować, mam to w nosie.

Mycroft zlecił odczytanie komentarza Wally’emu.

– Quinn sprawdzałby się lepiej w roli kowboja. Ma cechy osobowości pożądane u kogoś, kto popędza bydło, a nie u nauczyciela młodzieży – grzmiał dziennikarz.

Jed odpowiadał na wszelkie krytyki zdawkowym: „Bez komentarza”. Jego zawodnicy milczeli. Kibice sądzili, że Quinn ich do tego zmusił. Tylko Scotty знаła prawdę: oni także osłaniali Hobie’ego Grania. Nie powiedziała jednak nikomu.

Fred Carruthers został odesłany ze szpitala do domu. Scotty kilkakrotnie do niego dzwoniła. Pałała coraz większą sympatią do dziwnego staruszka.

– Nie przejmuj się Quinnem – nakazał jej gderliwie. – Poradzi sobie.

– A co będzie, jeśli straci pracę? On kocha College St. Thomasa, kocha Fayetteville. I jego piękna farma... – panikowała.

– Da sobie radę – powtórzył Fred ze ściągniętą twarzą. – Znajdzie inną pracę. Ma kupę forsy. Ale on nigdy nie rzuci koszykówki. Kto wie? Może trafi tak jak ty do Connecticut.

Spojrzała na Freda z wymówką. Nie chciała nawet myśleć o wyjeździe do Connecticut. Złożyła wypowiedzenie właścicielowi mieszkania, uregulowała sprawy telefonu i gazet, wynajęła nawet małą przyczepę do przewiezienia skromnego dobytku, ale wydawało jej się, że prędzej zniknie, rozplynie się w powietrzu, niż pojedzie do Connecticut. Nie mogła sobie nijak wyobrazić życia tam. Myślała tylko o Quinnie.

W hali St. Elmo panowało niewyczuwalne, ale elektryzujące wszystkich napięcie. Zawodnicy St. Elmo robili wrażenie rośłych, potężnych i żądnych zemsty. Scotty była przerażona ich pewnością siebie. Pamiętała, co powiedział kiedyś Jed: „Możesz nauczyć dzieciaka obrony i nauczyć go rzutów. Ale nie możesz nauczyć, żeby miał dwa metry wzrostu”.

Drużyna Wilków, w odróżnieniu od St. Elmo, robiła wrażenie niepewnej i zagubionej. Zdawali sobie sprawę, że wszyscy spodziewają się ich przegranej. Sądzą, że bez Hobie’ego Granta są zupełnie sparaliżowani i winią za to Jeda Quinna.

A jednak nie zanosilo się na to, że tanio sprzedadzą skórę. Scotty spostrzegła, że każdy z zawodników nosi na prawym nadgarstku złoto-czarną opaskę. Zauważyła ją także u Jeda, który już przed meczem rozebrał się do koszuli. Obserwował rozgrzewających się chłopców i od czasu do czasu, jakby nieświadomie, przyciskał opaskę lewą ręką.

Scotty od razu odgadła, co one oznaczają. Były cichym hołdem dla Hobie’ego Granta, znakiem pamięci o nieobecnym koledze. Cokolwiek ludzie wiedzieli czy też przypuszczali, ten mecz był rozgrywany dla Hobie’ego Granta.

Poprawiła słuchawki na uszach i czekała na sygnał inżyniera transmisji. Halę wypełniali hałaśliwi kibice St. Elmo. Nieliczni fani Wilków obecni na trybunach wypadali przy tamtych blado. Scotty słyszała, że kukła Jeda ma być powieszona na tyłach kampusu St. Thomasa, jeśli jego drużyna przegra mecz. Obawiała się, że pogłoska jest prawdziwa. W ten uświęcony tradycją sposób okazywano pogardę trenerom.

Nerwowo pociągnęła ostatni łyk wody. Była ciekawa, jak czuje się Hobie Grant. Wiedziała tylko to, co zdradził jej Fred Carruthers: chłopiec jest bardzo poważnie chory. Jed Quinn wiedział wszystko i gdy przechadzał się wzdłuż boiska, sprawiał wrażenie, jakby ta wiedza była ogromnym ciężarem. Pomyślała, że zanim wyjedzie do Connecticut, chciałaby powiedzieć mu, że rozumie jego postępowanie i szanuje go za nie. Oczy piekły ją od nie wyplakanych łez.

Jed stał samotnie przy linii bocznej, przeczesując ręką włosy. W jego postawie była siła i duma, niezależność i ciche wyzwanie.

Inżynier dał sygnał. Ponowiła starą sztuczkę z udawaniem, że mówi do Gampa i relacjonuje mecz dla niego. Tym razem robiła to także dla Freda Carruthersa. Usłyszała gwizdek i nagle musiała zapomnieć o wszystkim, co nie łączyło się z grą.

Drużyna Wilków, pozbawiona Hobie’ego Granta, zdawała się ustępować we wszystkich kategoriach zawodnikom St. Elmo. We wszystkich – oprócz tej, którą

Jed nazywał „serce”. To nie byli zastraszeni chłopcy z małego południowego college’u, ale młodzi ludzie, którzy wykroczyli poza ramy codziennego życia.

Wynik zmieniał się tak często, że Scotty z trudnością nadażała. W ostatniej minucie spotkania znów był remis. Traciła głos, zmuszona do przekrzykiwania oszalałych kibiców. Kiedy w końcowych sekundach Stanhope przechwycił piłkę i pognał przez boisko, jakby u stóp wyrosły mu skrzydła, wrzeszczała na całe gardło. Stanhope wyskoczył w górę, jakby wbrew wszelkim prawom ciężenia, i wbił piłkę do kosza z zawziętością, która wstrząsnęła tablicą.

– Udało się, udało! Wielka chwila dla Stanhope’a i dla Jeda Quinna! – krzyczała do mikrofonu, pewna, że tłum ją zagłusza. Po twarzy spływały jej łzy. Próbowwała odzyskać panowanie nad głosem, by móc powiedzieć słuchaczom, co się dzieje.

Wszyscy zawodnicy Wilków rzucili się na Stanhope’a, ściskali się nawzajem. Stanhope i Claridge podbiegli do Jeda, podrzucili go i zanieśli pod kosz, by zrobić to, co dla koszykarzy jest równoznaczne z wzięciem skalpu: obciął siatkę, o którą otarła się piłka w zwycięskim rzucie. Scotty widziała, jak Jed dokonuje tego aktu scyzorykiem, śmieje się do zawodników, coś do nich mówi, a oni podnoszą pięści w triumfalnym geście. Domyśliła się, co powiedział: „Dla Hobie’ego”.

Mimowolnie uśmiechała się, gdy opisywała, jak fetują zwycięstwo. Jed tego dokonał, i to na swoich warunkach. Pęczniała z dumy.

Z mocno bijącym sercem, schrypniętym głosem jeszcze raz podsumowała spotkanie. Usłyszała, że inżynier włącza nagranie pieśni bojowej Wilków i zdjęła słuchawki. Była wykończona. Plecy bolały ją od schylania się nad mikrofonem. Gardło było w takim stanie, jakby zjadła tłuczone szkło. Ale spisała się dobrze, wiedziała o tym. Tym, którzy nie mogli oglądać meczu, oddała wielką przysługę. Bardzo cieszyła się z tego, że mogła relacjonować to spotkanie. Rozwiało ono wszelkie wątpliwości co do tego, że Jed jest świetnym trenerem. A jego zawodnicy przechodzą samych siebie.

Nagle dotarła do niej bolesna prawda. Hala opustoszała i zupełnie ucichła; ta cisza wypełniała także ją. Było już po wszystkim. Skończył się sezon. Skończyła się jej praca. Skończył się czas spędzony z Wilkami. Wkrótce wyjeżdża do Connecticut, na kraniec świata. Każde miejsce bez Jeda wydawało jej się krańcem świata.

Złapała kurtkę i wybiegła na zewnątrz, gdzie miała czekać na radiową furgonetkę. Była to jedna z tych nocy, które ciepłym powiewem i aksamitną wilgotnością powietrza zwiastują koniec zimy i nadejście wiosny. Stała samotnie,

myśląc jak to było, gdy Jed trzymał ją w swych mocnych ramionach, o tym, co mogło być, co prawie się zdarzyło. Powstrzymywała łzy.

Bertie zaprosiła Scotty na pożegnalny lunch w jednej z najekskluzywniejszych restauracji Fayetteville. Dała jej także prezent. Była to koszulka z napisem „Zejdź mi z drogi, jestem największa”. Hassledorf nagrał dla niej kasetę wideo, którą nazwał „Największe nieszczęścia Bertie”. Były to szczególnie efektowne wpadki z programu „Farma ciotki Bertie”, włącznie ze sławną sceną pogryzienia przez świnię. A Fred Carruthers przesłał prezent, który przyjęła z mieszanymi uczuciami: nagranie jej relacji ze zwycięskiej walki Wilków o tytuł mistrzowski. Nie była pewna, czy kiedykolwiek zdobędzie się na odwagę, by tego wysłuchać. Gest był oczywiście wzruszający. Hassledorf postanowił w ogóle nie żegnać się ze Scotty; ostatniego dnia zostawił po prostu kartkę na stole. Mycroft i Wally mieli ważniejsze sprawy na głowie, co zresztą było jej na rękę. Obie z Bertie popłakały się na pożegnanie.

W sobotni poranek jej wiekowy, wyładowany po brzegi rambler stał na podjeździe, przygięty pod ciężarem do samej ziemi. Także przyczepa pękała w szwach.

Scotty czuła się dziwnie zdrętwiała, jakby słońce Arkansas oszukiwało ją pogodną jasnością. Wierzby przybierały już kolor złocistozielony. Pojedynczy krokus połyskiwał złotem przy jej opuszczonym domu, a na małym trawniczku żółciły się radośnie mleczki, co nie licowało z powagą chwili.

Wsiadła do auta, po raz piętnasty sprawdziła trasę na mapie, nakłoniła staruszka ramblera, by ruszył z miejsca i udała się na kraniec świata. Ciągle nie wierzyła, że dzieje się to naprawdę. Jak tysiące razy przedtem, przejechała przez przedmieścia Fayetteville, próbując uświadomić sobie, że tym razem opuszcza to miejsce na dobre.

Connecticut jest na krańcu świata, jest tu bardzo zimno i śnieżnie, ale poza tym to nie najgorsze miejsce, powtarzała Scotty. Hartford jest pięknym miastem, pełnym zabytków. Sama stacja, jej dyrektor, pan Laffberger, a także pracownicy są cudowni. Nawet jej małe mieszkanie, które wynajęła telefonicznie z Arkansas, jest cudowne. Rodzice powiedzieli, że są dumni z jej awansu. Nawet brat Bruno napisał, że w końcu coś osiągnęła. Wszystko jest cudowne.

Wszystko, ale... Tęskniła za domem. Co gorsza, była chora z miłości. Wiedziała teraz, ku własnej rozpacz, dlaczego ludzie tak to nazywają. Nawet telewizja nie

bawiła jej po tych kilku magicznych wieczorach spędzonych na relacjonowaniu meczów Wilków. Brakowało jej Bertie, Hassledorfa, Freda Carruthersa. Najbardziej brakowało jej Jeda. Nie mogła skupić się na niczym, oprócz wspomnień o nim. To bolało.

Siedziała przy biurku, gdy nagle poczuła, że ktoś mocno chwyta ją za ramiona.

– Odejdź, Farthingale – mruknęła, nie podnosząc oczu znad maszyny do pisania. Farthingale był młodym technikiem, któremu wystarczyło jedno spojrzenie na Scotty, by nabrać pewności, że to dziewczyna dla niego. – Zostaw mnie. Mówiłam ci już z tysiąc razy, że nie interesujesz mnie. Właśnie próbuję się otrząsnąć z nieszczęśliwej miłości.

Na karku poczuła elektryzujące muśnięcie ust, które z pewnością nie należały do Farthingale'a. Nie, pomyślała, jako że ciało przesyłało do mózgu nieprawdopodobną informację, to niemożliwe.

Silne dłonie zdecydowanie chwyciły ją za ramiona. W uchu zadźwięczał znajomy, niski głos.

– Sam próbuję otrząsnąć się z nieszczęśliwej miłości. Tylko jakoś mi nie wychodzi. A tobie?

Obróciła się na krześle i spojrzała wprost w błękitne oczy Jeda. W jego włosach topniały płatki śniegu. Miał na sobie grubą marynarkę, spod której wyłaniał się przekrzywiony krawat.

– To ty – szepnęła. – Skąd... skąd się tu wziąłeś? Podniósł ją z krzesła i położył dłonie na jej ramionach.

– Mam lepsze pytanie: skąd ty się tu wzięłaś? I czy nie chciałabyś wrócić do domu?

– Do domu? – głos jej zadrżał.

– Do domu. Czyli do Fayetteville. Czyli tam, gdzie jest twoje miejsce. Czyli przy mnie. Kocham cię.

Patrzyła na niego przez łzy. On tu nie może być, pomyślała. A nawet gdyby był, nie wypowiedziałby tych słów...

– Kocham cię – powtórzył. – Chcę cię pocałować, ale niech mnie licho, jeśli zrobię to tu, w telewizji. Wkładaj palto. – Patrzyła na niego nic nie rozumiejąc. – Wkładaj palto – powtórzył znajomym, żartobliwym tonem. – Powiedziałem, że chcę cię pocałować. I całować do końca życia.

Był już prawie wieczór, kiedy wyszli na dwór. Ciężkie płatki śniegu leniwie opadały na ziemię. Jed zaciągnął ją pod bezlistny dąb i pocałował, przyciskając do swego ciała tak mocno, że zastanawiała się, czy nie połamie jej żeber, ale było jej

wszystko jedno. Nie mogło być snem to, że ją tak mocno obejmuje, że czuje na ustach upragnione ciepło jego ust. Nie mogła śnić, że spadają na nią płatki śniegu, gdy rozgarnia palcami jego puszyste włosy i przysuwa swą twarz do jego twarzy.

– Wracaj do domu – szepnął. – Wyjdź za mnie. – To niesamowite. – Czuła łyż pod powiekami.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Jechałem do ciebie przez trzy dni. Kocham cię. Kochałem cię chyba od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem tę wystraszoną, dzielną, śliczną twarz. Im bardziej z tobą walczyłem, tym większą byłaś pokusą. Ale Mycroft, moja przeszłość i tysiąc innych rzeczy stało pomiędzy nami.

– Ale... ale... to wszystko, co powiedziałaś...

– wyjąkała.

– Byłem skończonym głupcem. Powinienem był się domyślić, że Mycroft cię wykorzystuje. Fred Carruthers powiedział mi, jak bezwzględnie. A kiedy wyjaśnił, że prawie od początku wiedziałaś o Hobie'em i nie zdradziłaś tego nikomu, choć byłaby to wielka sensacja... Bardzo się co do ciebie myliłem.

– Fred? Powiedział ci, że wiedziałam?

– Tak, powiedział, stary wyga, choć nie od razu.

– Uśmiechnął się kwaśno, a na policzku pojawił się dołeczek. – On cię lubi, Scotty, i w końcu powiedział mi, jakim jestem głupcem. Myślę, że odczekał aż do chwili, gdy upewnił się, że bez ciebie jestem cholernie nieszczęśliwy, że naprawdę mi na tobie zależy. Było już po sprawie z Grantem I wiedział, że dotrzymałaś słowa.

Spojrzała na niego, oczy jej błyszczały.

– Nigdy nie było mi tak trudno dochować tajemnicy. Chciałam powiedzieć, dla twojego dobra. Ale pomyślałam, że skoro ty tego chcesz i Hobie tego chce... – Nagle spochmurniała i jej dłonie zacisnęły się na klapach jego marynarki. – Co z Hobie'em?

Uśmiechnął się i przycisnął jej zimną dłoń do swego twardego policzka.

– Ma się dobrze. Wkrótce będzie zdrowy jak ryba. Wróci do zespołu w przyszłym roku.

Podniosła drugą dłoń, by dotknąć jego twarzy, dotknąć kącika jego ust.

– Naprawdę? Naprawdę wróci?

– Naprawdę – przytaknął Jed, strząsając płatki śniegu z włosów. – Dzieciak był naprawdę porządnie wystraszony. Od tamtego wieczoru, gdy pojawił się u mnie, wiedziałem, że dzieje się coś złego. Jedyne walka, jaką naprawdę stoczyliśmy,

dotyczyła jego wizyty u lekarza. Trzymałem go na ławce, aż zgodził się do niego pójść. Wtedy okazało się, że... musi nadal pozostać na ławce. Chciał przed wyjazdem obejrzeć jeszcze jeden mecz. Miał guz na mózgu. To powodowało, że był niezrównoważony. Opuścił szkołę, by udać się na operację.

– O mój Boże...

– Dlatego tak się bał. Od dawna obawiał się, że coś jest z nim nie tak, a potem myślał, że umrze albo – co gorsza – że będzie żył i nigdy już nie zagra w kosza. Nie chciał jednak niczyjej litości. Nie chciał rozgłosu, nie zniósłby tego. Dlatego też nigdy nie mówiliśmy, dokąd się udaje ani po co. Powiedziałem mu, że wezmę te sprawy na siebie. On już i tak miał dość zmartwień. Zespół wiedział, ale chłopcy byli tego samego zdania co ja, że Hobie ma prawo do zachowania prywatności.

Znów przytuliła twarz do jego piersi.

– Wiedziałaś, że osłaniasz go przed czymś okropnym. Byłam z ciebie taka dumna. I cieszę się, że z Hobie'em będzie wszystko w porządku.

– Nie tylko w porządku, kochanie – powiedział, całując ją w ucho. – On będzie znakomitym zawodnikiem. Byłbym tutaj wcześniej, ale chciałem mieć informacje o nim. No i jak, jedziesz ze mną do domu? Załatwiłem ci nawet pracę.

– Pracę? Jaką pracę?

– Byłabyś Głosem Szarych Wilków. Fred nie wycofuje się całkowicie, ale uważa, że sprawozdania z meczów to już dla niego za wiele. I powiada, z całą swoją skromnością, że zna tylko jedną osobę, która mogłaby go zastąpić. Ciebie.

– Mnie? – roześmiała się. – Ja Głosem Wilków? Och, Jed, to byłoby cudowne.

– Będziesz musiała zostawić Connecticut – powiedział, zapinając ostatni guzik w jej palcie i podnosząc kołnierz.

– Tu był tylko mój cień. Dopóki ty nie...

– Nie będę czekał dwa tygodnie, aż skończy się okres wypowiedzenia – ostrzegł. – Pan Poteau będzie musiał znaleźć sobie jakąś inną piękną twarz.

– Zawsze podejrzewałam, że dostałam tę posadę z niewłaściwych powodów. Ten Poteau jest zdaje się niezłym kobieciarzem.

– Kochanie, dostałaś tę pracę, bo na nią zasłużyłaś. Ale szkoda cię tutaj. Nie wszyscy to rozumieją. Twoja rodzina uzna, że oszalałaś – uprzedził ze smutnym wyrazem twarzy.

– Czas przestać myśleć o robieniu przyjemności rodzinie, a zacząć myśleć o sobie.

– Fred nie krył, że będziesz zarabiać grosze.

– Mało mnie to obchodzi.

– Są za to nadzwyczajne korzyści uboczne. – Pocałował ją raz jeszcze, przyciągając do siebie tak blisko, że czuła, jak stapiają się w jedno. – Zaprosisz mnie do siebie, żebym lepiej mógł zaprezentować te... korzyści?

Skinęła głową. Strzepnęła płatki śniegu z jego włosów i poprawiła mu krawat z radosną pewnością, że już zawsze będzie to robić.

– Zawsze miałaś nade mną przewagę – powiedział po długim pocałunku.

– Niemożliwe... Ja... O czym mówisz?

– Wiesz, jestem tylko mężczyzną.